Nr. 23. Poznań, Niedziela dnia 4 czerwca 1911. Rok XV.

PRACA

CENA OGŁOSZEŃ wynosi 30 fenygów od jednołamowego wiersza petytowego. Przy częstszem ogłaszaniu udzielamy rabatu a mianowicie:

przy czteroraz. (miesięczn.)	„	15%
„ kwartalnem 13 ×	„	25%
„ półrocznem 26 ×	„	33⅓%
„ rocznem 52 ×	„	50%

Ogłoszenia na zewnętrznych stronach okładki obliczamy po 40 fen. od wiersza bez rabatu. Telefon 97.

Ofiarujemy do nabycia pod bardzo korzystnemi warunkami

wioskę szlachecką

Wilcze pod Bydgoszczą, z szosą i dworcem w miejscu i tuż pod Bydgoszczą, gdzie gimnazyum, wyższa szkoła żeńska oraz zbyt na wszelkie produkta rolne po wysokiej cenie; **mleko samo opłaca procenta.** Obszary ca 1300 mg. a wtem przeszło 1100 mg. pod pługiem dobrej, zdrowej żytniej ziemi, 100 mg. smużnych łąk i 100 mg. starszego lasu na własną potrzeb. Wysiew: 600 mg żyta, 30 mg jęczmienia, 80 mg. koniczyn, 25 mg owsa, 50 mg. mięszaniny, perek i t. d Inwentarz żywy włącznie 33 krów wyborny a taksamo kompletny inwentarz martwy.

Dworek o 10 pokojach jest masyw, na sklepieniach i leży w ogrodzie, który graniczy z lasem. Budynki taksamo wszystkie masyw i w wielkim porządku.

Całość robi bardzo korzystne, sympatyczne wrażenie.

Stan hipoteczny uregulowany. Zaliczki przynajmniej 60.000 mk.

Oględziny dozwolone tylko za poprzedniem opowiedzeniem się w Poznaniu.

Dalej ofiarujemy do nabycia jako objekt czysto okazyjny a mianowicie

folwark

Strepsz pod Gdańskiem ca 900 mg. a wtem 700 mg. wybornej ziemi pszennej, 50 mg. dwusiecznych łąk i 130 mg bardzo rybnego jeziora. Przyzwoity dworek nad jeziorem, ładne murowane budynki i dobry inwentarz. Urodzaje doskonałe

Strepsz jest wielka wieś kościelna, z szkołą i szosą w miejscu. Ksiądz i lud wszystek szczerze polski, to też kazania zawsze tylko polskie. Ładny inwentarz; bajeczne urodzaje. Stan hipoteczny uregulowany. Dla rolnika z zawodu byt zapewniony. Zaliczki 50.000 mk.

Taksamo polecamy pod bardzo korzystnemi warunkami

folwark

Turowy pod Turskiem w powiecie Pleszewskim, z gorzelnią parową. Obszaru jest ca. 350 mg. a wtem ca 300 mg. ziemi bardzo urodzajnej w starej wysokiej kulturze i ca. **50 mg. trzysiecznych bardzo zyznych łąk.** Budynki gospodarcze obszerne, wszystkie masyw w porządku. Dwór pański o 8 pokojach w ładnym ogrodzie. Bardzo ładne sympatyczne położenie. Inwentarz żywy i martwy kompletny w najlepszym stanie **Na majątku jest parowa gorzelnia z 120 beczek kontyngentu i 240 beczek Brennrechtu.**

Zaliczki 50 000 mk. Dobre hipoteki lub mniejsze gospodarstwo weźmiemy także w zaliczkę. **Sama gorzelnia przynosi przeszło 9000 mk. rocznie i pokrywa wszelkie procenta.**

Oględziny mogą nastąpić każdego dnia. Majątek pokaże i objaśni we wszystkiem zastępca nasz p. **Jakób Woźniak** zamieszkały w Turowach.

Wreszcie ofiarujemy po cenie bardzo przystępnej

folwark

Kluczewo (też Leśniczówką zwany) pod Przementem w powiecie Śmigielskim, poczta Bucz, dworzec Błotnik. Z dworca Błotnik do Kluczewa (Leśniczówka) niespełna 4 klm.

Obszar ca. 350 mg. a wtem 30 mg. łąk i 50 mg. lasu. **Ziemia najlepsza jęczmienna, bardzo urodzajna i w wysokiej kulturze; łąki dwusieczne z niewyczerpanym pokładem torfu; las w połowie drągowina,** w połowie 20-letnie sosnowe zagajenie z ładnym porostem, zwarte i rokujące wielką przyszłość. Budynki wszystkie murowane pod dachówką i papą w najlepszym porządku. Dom mieszkalny wygodny Inwentarze dobre i kompletne. Gospodarstwo zasobne. **Całość przedstawia się bardzo dobrze.** Folwark leży osobno sam dla siebie w środku terytoryum. Swietne urodzaje zapowiadają bogaty obfity sprzęt.

Zaliczki potrzeba 40 000 mk. Oględziny mogą nastąpić każdego czasu Majątek pokaże i udzieli wszelkich informacyi tam na miejscu zastępca nasz p. **Chryzostom Michalak** w Kluczewie Leśniczówce) zamieszkały. Na wczesne zamówienie konie czekać będą w Błotnikach. Adresować trzeba: **Michalak, Försterei-Vorwerk bei Bucz Kr. Schmiegel.** 167

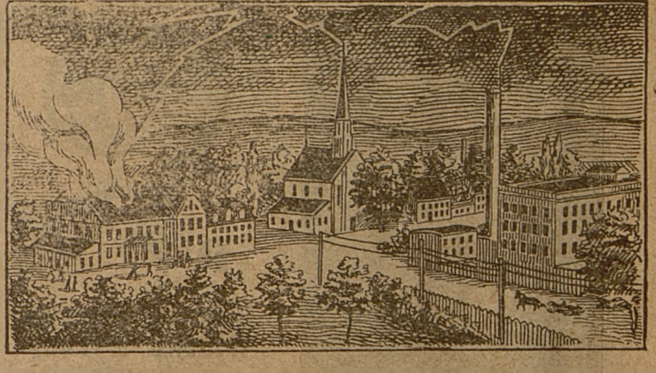
Drwęski & Langner

Dom Bankowy

Poznań, ul. Rycerska 38.

Telef. 1960. założ. w roku 1876. Telef 1960.

Za dostarczenie kupca płacimy chętnie 1%.



Z nieprawidłowym lub też bez gromochronu. Z prawidłowo założonemi gromochronami.

Zakłady gromochronów

Na budynkach wszelkiego rodzaju, wieżach, kominach i t. p. wedle przepisów urzędowych wykonuje tanio i poprawnie, naprawia sumiennie, rewiduje urzędowo — kosztorysy bezpłatnie

Fr. Biskupski

akredytowany rewizor i rzeczoznawca gromochronów dla towarzystwa prowincyonalno-ogniowego.

Poznań O. 1, ul. Wiktoryi 19 i ul. Pawła 2 we własnym domostwie.

Telefon nr. 108. adres telegr.: **Elektrotechnik**

Przenoszenie siły elektr., elektr. światło, elektr. zegary, elektr. zamki, telefony domowe i na odległości, gromochrony, przyrządy elektro-kuchenne.



Prawidłowe i punktualne **wykonanie.**

Najtańsze obliczenie przy **li tylko** najlepszym materyale od roku 1880 zasadą. 152

Kto chce się żenić??







Kto chce wiele pieniędzy zaoszczędzić, niech zaraz zamówi katalog Strzeleckiego, który darmo odbierze. W żadnej fabryce na świecie nie kupi pan tak tanio **obrączek ślubnych, podarków zaręczynowych, zegarków, harmonik, fonografów, kolowców,** jak u Strzeleckiego. Zegarek kupiony u Strzeleckiego odbierze Pan ze swoją własną fotografią lub na życzenie z portretem siostry ojca, matki lub narzeczonej.

Adres: **J. Strzelecki, Mogilno** (Posen.)



Kosiarki do traw i żniwiarki do zboża

Siederslebena, Plano, Deeringa i inne.

Nowe grabie konne

całożelazne z buksami w kołach, bardzo trwałej i prostej konstrukcyi, najlepsze.

Przetrząsacze do siana

całożelazne, widełkowe, nowej konstrukcyi.

A. Bryliński w Poznaniu.

Telefon Nr. 69. 115

Kantor i wystawa wszelkich machin i narzędzi rolniczych krajowego i zagranicznego wyrobu **przy ulicy Rycerskiej Nr. 14.**

Wielkie składy machin i części zapasowych na placu kolejowym. Własna pracownia do napraw.

Adres do listów: **A. Bryliński, Poznań — Posen.**

Adres do telegr.: **A. Bryliński — Posen.**

Nr. 23. Poznań, dnia 4 czerwca 1911 r. Rok XV.

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 16 Telefon Nr. 91 Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Mowa ojczysta.

Świętością winien być dla nas język ojczysty. Jest to dar od Boga pochodzący. Duch św. wstępując na apostołów, udzielił im daru mówienia różnemi językami, żeby poszczególnym ludom w ojczystej mowie wiarę św. głosili. A zatem w ojczystej mowie uczyć się mamy najwznioślejszych prawd Boskich. Jest to dla nas przykazaniem, by kochać naszą mowę przekazaną nam przez naszych praojców, a daną nam przez Boga samego.

Narodowość jest sercem, język jest krwią, ojczyste ciało narodu opływającą. Jeśli wytoczysz z człowieka krew, ubiegnie z nią życie jego, toż samo powiedzieć można o narodzie! Wytocz z narodu język, a ubiegnie z nim żywot jego. Naród żyje, dopóki język jego żyje. Bez języka narodowego niema narodu.

„Nasza mowa, piękna mowa!
„W niej praojce czcili Boga...
„W niej się dusza narodowa
„Chroni kiedy trwoga.
„Nasza mowa, piękna mowa!
„Matka szepce w niej pacierze...
„Kto ją w ustach, w sercu chowa
„Z braćmi ma przymierze.“

Może nie uprzytomniamy sobie, nie pamiętamy, jaki to skarb posiadamy w tej cudnej naszej polskiej mowie. Zupełnie inaczej przenikają nas dźwięki mowy ojczystej. Jak ów chłopiec wiejski, gdy odmawiał pacierz w obcej mowie nie zdjął czapki z głowy, a gdy go po polsku odmawiał, zdjął czapkę, bo dopiero teraz odczuwał świętość słów i podniosłe znaczenie pacierza.

„Toć w żadnej innej mowie, w całym świecie,
„Tej gorącości nie masz, tego ducha.
„Gdy matce, matko! czyli bracie, bratu!
„Po polsku rzekłszy, to aż ogień bucha;
„Taka ci słodkość w tem, taka woń kwiatu.“

Gdy w obce kraje się udamy i tam między cudzoziemcami żyjemy, odzywa się tęsknota za słowami, duszy naszej miłemi, pamiętnemi. Pamiętamy i pieszczotliwe słowa rodziców i głosy miłości i przyjaźni wśród swoich i żal i tęsknota serca nasze ogarnia. I gdy rodaka ujrzymy i posłyszymy upragniony narodowy język, radość i wzruszenie nas ogarnia. Rozpoczynamy rozmowę, przeciągamy ją, by ukoić tę naszą tęsknotę. I chcielibyśmy wrócić do kraju, bo nie masz szczęścia poza ojczyzną. Jak drzewo i roślina na obcym gruncie zasadzona więdnie i usycha, tak i człowiek szlachetny i uczuciowy nie może być szczęśliwy zdala od tej, którą ponad wszystko kochać winniśmy.

Mowa to głos ojczyzny z jej serca i ducha wydobyty. Ojczyzna nim przemawia do dzieci i dziatwa rodzona między sobą nim przemawia i rozumieją się dzieci z macierzą.

„Gdzie jest słowo tam i siła
„A gdzie duch jest, tam i mowa
„Choćby ziemia chorą była
„Zdrowia jej dochowa.“

A zatem słowo polskie jest dla nas siłą, a zarazem własnością, której nikt nam odjąć nie może.

Wiążą te słowa, ten język wspólny naszą przeszłość i teraźniejszość i przyszłość w jedną nierozerwalną całość.

Mowa nasza złożona jest w literaturze ojczystej, w której cały naród zostawił odbicie swych myśli, porywów, uczuć, słowem całego swego ducha. Jeśli kochamy naszą mowę, to musimy ukochać i znać naszą literaturę, dzieła naszych pisarzy i poetów.

„Arka to jest narodowa
„Co się w niej nadzieja chowa!
„Arka to jest i skarbnica
„A w niej jutra tajemnica!“

Rzeczywiście możemy być dumni na tych, co myśl swoją, swój zapał i genialność pozostawiają nam w dziełach swoich.

Nie tylko sami czytać powinniśmy, lecz dawać sposobność rodakom naszym, by i oni z skarbów naszej literatury czerpać mogli.

Grono ludzi szlachetnych i dobrej woli poruszyło myśl założenia wspaniałej Czytelni ludowej w Poznaniu, zawierającej o ile możności wszystkie dzieła polskie, cały nasz dorobek duchowy od przeszłych stuleci do dni dzisiajszych.

Bezpłatnie ma ludność cała korzystać z tej krynicy oświaty. Całe społeczeństwo winno zainteresować się tem dziełem i w wspólnej ofiarności

się połączyć, w dążeniu do światła postępu, wiedzy.

Słusznie powiada Karol Libelt: Kto wyrósł na myślach pisarzy narodowych, kto ich ducha odgadł i pojął ten ma prawo powiedzieć:

Jestem duchem z ducha narodu mego, jestem kością z kości przodków moich.

„Bo pieśń nie jest marną rzeczą,
„Ona świętym krzykiem duszy...
„Ona piersią tą człowieczą
„Jako grzmot poruszy.
„Tak ci serce ludzkie, w pieśni
„Trzeźwieje, a ożyje
„Zbędzie starej swojej pleśni
„I znów górnie bije.“

Pijmy z tego źródła świeżego a czystego, a uczujemy inną moc w sobie. Ujmijmy silnemi rękoma oświatę narodową, bo gdy ona wyschnie i zagaśnie, nie masz dla nas odrodzenia.

W młodem pokoleniu budźmy zamiłowanie do języka ojczystego, miłość przeszłości, a przedewszystkiem ukochanie i wiarę w przyszłość:

„Duch, co się kiedyś stał pieśnią natchnioną
„Znowu się wróci w złote źródło swe,
„W siłę narodu w nadzieję wskrzeszoną,
„W bicie serc bratnich, w uścisk, w okrzyk, łzę.
„On twoje ziemie i twoje dzielnice
„Zestroi w jeden wszechpotężny ton
„I żywej pieśni otworzy krynicę
„I serc miliona rozkołysze w dzwon.“

Sońka.

Życie jest ważniejsze od nauki. Powiedziano słusznie: chwalebnie jest badać przeszłość, lecz użyteczniej jest tworzyć teraźniejszość, w której jest zaród przyszłości.

Ks. W. Kalinka.

* * *

Cierpienie pali i oświeca: ono jest tym ogniem, który gorejąc wewnątrz, roznieca na obliczu jakiś blask godności, wzbudzający mimowolnie uszanowanie.

Kazimierz Kaszewski.

* * *

W naszym wieku żelaznym zagadka bytu nie polega tylko na tem, aby nie brakło synów tej ziemi, ale na tem, aby z dniem każdym przyrastała liczba rozumnych, rządnych i moralnych jej synów. *Józef Szujski.*

* * *

Skarb dla spokojnego życia jest, nie życie dla zbierania skarbu.

Samuel Otwinowski.

SEJM ROBOTNICZY.

Zeszłej niedzieli zakończyły się czterodniowe obrady szóstego Zjazdu Zjednoczenia zawodowego polskiego.

Zjazd przedstawiał się pod każdym względem jaknajdodatniej. Przedyskutowano bardzo obfity materyał wniosków, zdano sobie sprawę z rozwoju i prac organizacyi. Obrady świadczyły tak o społecznem wyrobieniu jak o duchu obywatelskim delegatów, a uchwały podjęte na zjeździe dają rękojmię, że organizacya, która podczas ośmioletniego swego istnienia tak świetnie się rozwinęła, także w przyszłości postępować będzie drogą stałego i prawidłowego rozwoju.

Wnioski zmierzające do większego usamodzielnienia poszczególnych oddziałów Zjednoczenia, a tem samem do rozluźnienia obecnej z takim trudem przeprowadzonej centralizacyi Z. Z. P., upadły z wielką korzyścią dla organizacyi, która tem lepiej wypełni swe zadanie im większa będzie jej spoistość i konsolidacya wewnętrzna.

Również w przeniesieniu siedziby głównego zarządu Zjednoczeniu na Śląsk należy upatrywać zadatek pomyślnego rozwoju organizacyi. Śląsk bowiem z swemi nieprzejrzanemi rzeszami robotników polskich najróżniejszych kategoryj tworzy bardzo podatne pole dla pracy Zjednoczenia i dostarczy mu niechybnie licznych nowych członków.

Także oddział rzemieślniczy, zbogacony o jednego urzędnika w zarządzie, mającego głównie pracować w dziedzinie spraw budowlanych, po tej reformie lepszego może oczekiwać rozwoju. Życzyć by tylko należało, aby pomiędzy naszymi robotnikami ożywiła się idea łączności, gdyż właśnie w naszej dzielnicy Z. Z. P. najsłabiej się rozwija.

Na koniec z uznaniem powitać należy wybór osób do zarządu centralnego. Prezesem wybrano ponownie p. Sosińskiego, który długoletnią pracą na tem stanowisku wielce odpowiedzialnem i trudnem złożył dowody niepospolitej zdolności i pracowitości. Sekretarzem został p. Grześkowiak, a skarbnikiem p. Wieczorek, mężowie świątli i zdolni, cieszący się zupełnem zaufaniem członków.

Społeczeństwo nasze z gorącą sympatyą i uznaniem spogląda na prace i usiłowania Z. Z. P. i jego wybitniejszych działaczy i tylko żałować wypada, że uczucia te nie znalazły należytego uwydatnienia przez obfity udział inteligencyi i duchowieństwa na zjeździe.

* * *

Zarząd Centralny Z. Z. P. ogłosił obszerne, bo 131 stronnic druku obejmujące, sprawozdanie z swych czynności.

Książka ta pod względem przejrzystości i umiejętności zestawienia nader obfitej treści przynosi zaszczyt swym autorom. Śmiało można ją nazwać dziełkiem ekonomiczno-społecznem i życzyć, aby się znalazła w ręku wszystkich, którzy się odnośnemi sprawami zajmują. Również życzyć by należało, aby w przyszłości, chociaż drobną część nakładu tych sprawozdań bito na trwałym papierze, będą one bowiem miały dla historyków przyszłych wartość wielką, nie tylko jako zbiór materyałów, nie tylko jako dokumenta świadczące o pracach i usiłowaniach każdoczesnego zarządu, lecz także jako świadectwa wymowne poziomu intelektualnego i wyrobienia społecznego kierowników ruchu robotniczego polskiego w odnośnej dobie.

Sprawozdanie zaznacza, że rok 1910 był rokiem powolnego, lecz stale postępującego polepszenia się rynku gospodarczego. To podniesienie się konjunktur przysporzyło wiele pracy i spowodowało znaczny popyt na pracę rąk ludzkich, wskutek czego liczba poszukujących zatrudnienia robotników zmniejszyła się w porównaniu do roku poprzedniego znacznie. Tak np. wykazują sprawozdania kas chorych d. 1. listopada 1910 r. 4 819 396 członków wobec 4 580 593 członków roku poprzedniego, czyli o 238 803 więcej osób zatrudnionych. Tłumaczy się to znacznem podniesieniem produkcyi w wielu gałęziach wytwórczości. Produkcya ta r. 1910 była wyższa niż w latach najwyższej konjunktury. Cena wyrobów

wszakże nie osiągnęła wszędzie tej samej wysokości, co podczas wysokiej konjunktury.

Ciekawe są liczby wykazujące wzrost produkcyi żelaza, kruszców i węgli w ostatnich latach. Tak np. przed 50 laty wytwarzano 545 298 ton żelaza, w r. 1910 produkcya ta wykazuje olbrzymią liczbę 14 793 325 ton. Produkcya kruszcu podniosła się z 500 800 w r. 1879 na 25 000 500 ton w r. 1910. Produkcya węgla podniosła się z 42 milionów na 152 miliony ton.

Podobnie wzrosła stosunkowo liczba zatrudnionych w przemyśle żelaznym robotników. Było ich r. 1879 144 tysiące wobec 450 000 w r. 1910. Wszystkich robotników w zawodzie metalurgicznym pracuje około 2 i pół miliona. Wartość produkcyi surowca wynosi rocznie 700—800 milionów marek. Wartość wyrobionej stali wynosi około 2800 mil. mk.

Pracodawcy w zawodzie metalurgicznym dobrze są zorganizowani i należą do najzaciętszych przeciwników organizacyi robotniczych. Los hutników zatem jest bardzo jeszcze opłakany. Także ogólny stan oświaty u hutników wskutek ciężkiej i niezmiernie długiej pracy (10, 12, 13 i 14 godzin na dobę, a czasami 36 godzin bez przerwy) mniej jest pomyślny, niż u górników. Zarobki zaś robotników ani w przybliżeniu nie podniosły się tak jak kapitały i zyski pracodawców. Sprawozdanie stwierdza, że w żadnym zawodzie nie traktuje się robotnika tak źle jak hutnika, czy to w zakładach wyrobu żelaza i stali czy też cynku. Przeto uważa sobie zarząd za obowiązek dołożyć wszelkich sił, by właśnie tej warstwie pracowników los polepszyć. W tym celu powinni hutnicy hurmem wstępować do Zjednoczenia Z. P., gdyż tylko wspólną pracą ulgi osiągnąć się dadzą.

Wytwórczość węgla kamiennego ogromnie się podniosła. R. 1909 wydobyto 148 788 050 ton węgla wartości 1 519 222 000 mk. R. 1910 wydobyto 152 887 777 ton węgla wartości marek 1 526 689 000. Równocześnie podniosła się produkcya węgla brunatnego prawie o milion ton, produkcya koksu także o przeszło 2 miliony ton się powiększyła.

Liczba zatrudnionych robotników w górnictwie pruskiem wynosiła r. 1905: 450 863; r. 1909: 723 669; r. 1910: 727 704.

Liczba młodocianych robotników niżej lat 16 wynosiła r. 1895: 10 546; r. 1909: 26 198; r. 1910: 26 187. Liczba dorosłych robotnic wynosiła: r. 1895: 8434; r. 1909: 10 480; r. 1910: 10 227. Zatem liczba młodocianych robotników zajętych w górnictwie cofnęła się o 11, liczba niewiast o 253. Z robotnic na kopalniach zatrudnionych było 4774 w wieku niespełna 21 lat. Zaznaczyć jeszcze należy, że dziewięć dziesiątych wszystkich na kopalniach zatrudnionych kobiet pracuje na kopalniach śląskich, czyli że na Śląsku jest największy wyzysk sił kobiecych. Również młodocianych robotników zatrudniają kopalnie śląskie bardzo licznie, liczniej niż kopalnie nadreńskie.

Przeciętne zarobki górników były na G. Śląsku r. 1910 niższe niż roku poprzedniego, wynosiły bowiem w przecięciu tylko 1145 mk. wobec 1188 mk. r. 1909 i 1211 mk. r. 1908.

Sprawozdanie wylicza, że wobec tych zniżek zarobku stracili robotnicy na G. Śląsku przez 2 i ćwierć roku razem wziąwszy 10 i pół miliona marek, w obwodzie rzeki Rury zaś blisko 106 milionów marek. Również we wszystkich innych obwodach nastąpiło wielkie zniżenie zarobku w górnictwie, tak iż śmiało powiedzieć można, że robotnicy w górnictwie niemieckiem zajęci stracili zarobku przeszło 140 mil. marek. Tymczasem zyski przedsiębiorców nie ucierpiały, gdyż dywidendy za r. 1910 równają się zyskom z czasów wysokiej konjunktury. Co do kopalń fiskalnych czyli rządowych także wylicza sprawozdanie znaczną zniżkę zarobków w porównaniu z latami uprzedniemi, podniosły się wszakże od 10—20 proc. w porównaniu z r. 1899. Tymczasem fiskus zarabia na każdym robotniku znaczne odsetki, jeżeli się zważy, że wartość produkcyi przypadającej na jednego robotnika wynosi w przecięciu 2753 marek.

W zawodzie budowlanym będzie r. 1910 w historyi ruchu robotniczego jednym z najważniejszych. Wiadoma bowiem, że przedsiębiorcy budowlani w roku tym zabrali się do stanowczej rozprawy z robotnikami, chcąc zniszczyć wszelki dorobek, jaki organizacye robotnicze w ostatnich latach wywalczyły. Walka skończyła się tak moralnem jak materyalnem zwycięstwem robotników. Stanęła bowiem umowa, wobec której pracodawcy będą musieli robotnikom wypłacić aż do kwietnia 1913 r. przeszło 80 mil. marek zarobków więcej aniżeli wedle starej taryfy płacili. Obecnie zbierają pracodawcy kapitały, by r. 1913 o ile możności nową walkę wypowiedzieć robotnikom, lecz i robotnicy nie zasypiają sprawy.

Tak jak w innych zawodach tak też w zawodzie budowlanym tworzą się spółki. Jeszcze w r. 1895 było takich spółek 4, podczas gdy 13 lat później naliczono ich 44. Spółki te obejmują tysiące przedsiębiorstw zatrudniających razem dziesiątki i setki tysięcy robotników.

Tak np. nadreńsko-westfalska spółka zawodowa obejmuje 26 264 przedsiębiorstw z 162 796 robotnikami. Zarobek wynosił r. 1909: 1198 mk. na robotnika rocznie, r. 1905 tylko 1180 mk. rocznie.

Śląsko-poznańska spółka zawodowa liczy 9093 przedsiębiorstw i 86675 robotników. Zarobków wypłacono 956,50 mk. na robotnika, czyli o 35 mk. więcej niż w roku poprzednim. Zarobki zatem na zachodzie są wyższe, lecz zapomnieć nie należy, że życie tam znacznie droższe niż w naszych stronach, przeto różnica się znosi.

W zawodzie tkackim chwali sprawozdanie dobroć konjunktury i zaznacza, że zarobki roczne wynoszą w Lotaryngii 780 mk., w Saksonii 760 mk., na Śląsku 600 mk., w Nadrenii i Westfalii zaś 912 mk. przeciętnie.

Osobny artykulik poświęca sprawozdanie związkom pracodawców i związkom żółtym.

Zaznaczyć należy, że związki żółte powstają ponajwiększej części z poręki samych pracodawców i są przeznaczone na to, by dostarczali pracodawcom łamistrejków. Pierwszy taki związek żółty robotniczy powstał u firmy Kruppa w Essen i liczy obecnie kilka tysięcy członków. W ostatnim czasie założono kilka takich związków w Nadrenii i Westfalii i zaczynają się one także pojawiać na kopalniach. Robotnicy zatem mogą być przygotowani na to, że w najbliższej przyszłości nie będzie większej kopalni lub fabryki, gdzieby się żółty związek robotniczy nie zagnieździł. Wszystkie te związki mają obecnie już około 100 tysięcy członków i rozporządzają kapitałem 400 000 mk. Sprawozdanie ubolewa nad tym stanem rzeczy i potępia tych robotników, którzy sami barek nadstawiają, by ich pracodawcy chłostali. Potrzeba zatem szerzyć uświadomienie społeczne pomiędzy robotnikami, aby się na te sztuczki pracodawców obliczone na pognębienie robotników łowić nie dawali.

Następny rozdział sprawozdania traktuje o nieszczęśliwych wypadkach. Przytaczamy tylko kilka cyfr. Tak istniało r. 1909 w Niemczech 114 spółek zawodowych, które obejmowały 6 150 000 przedsiębiorców i 26 182 000 ubezpieczonych osób. Wszystkich ubezpieczonych (w państwowych, prowincyonalnych i komunalnych zakładach włącznie) było 27 100 000 osób.

Rozchód owych 114 spółek zawodo-

wych wynosił r. 1909 187 798 544 mk., w tem 146 302 256 mk. na renty.

Wszystkich nieszczęśliwych wypadków zgłoszono r. 1909: 664 247, w r. 1908: 662 321. Pomiędzy nieszczęśliwemi wypadkami było 9368 śmiertelnych, w roku poprzednim 9856, czyli 488 więcej. Rodzin, którym po zabitych żywicielach po raz pierwszy renty udzielono, było 19667, w tem 6372 wdów oraz 13288 dzieci i wnuków. R. 1910 było 11 658 nieszczęśliwych wypadków więcej czyli 675905.

Sprawozdanie słusznie wykazuje, że jedną z walnych przyczyn tych nieszczęśliwych wydarzeń jest niedostateczna kontrola przedsiębiorstw przemysłowych, wobec czego wynika potrzeba dodania urzędnikom procederowym kontrolerów z kół robotniczych. Podług sprawozdań spółek zawodowych zarobili ubezpieczeni robotnicy razem 8 567 302 496 mk. czyli przeciętnie 900 mk. rocznie. Pracodawcy wpłacili na ubezpieczenie robotników w r. 1909: 150 i pół mil. marek, czyli przeciętnie 15 mk. od robotnika.

Statystyka górniczej spółki zawodowej wykazuje, że liczba nieszczęśliwych wypadków wzmaga się równomiernie jak postępują dni w tygodniu. Najmniej nieszczęść zachodzi w niedziele i poniedziałki, najwięcej w soboty.

O zdrowotności pomiędzy robotnikami wyraża się sprawozdanie bardzo pesymistycznie. Przeciętnie żyje robotnik tylko 42 lata. Winę przypisuje sprawozdanie w części także lekarzom kasowym, którzy nie zawsze obchodzą się z robotnikiem tak jak należy i starają się robotnika na pół zdrowego do pracy wysłać. Temu może jedynie zapobiedz wolny wybór lekarzy. Postęp uwydatnia się o tyle, o ile pomiędzy górnikami choroba na robaki prawie zupełnie ustała, lecz żywe obawy budzą pewne choroby oczu, które coraz to częściej się pojawiają.

Druga połowa książki poświęcona jest sprawom i czynnościom Z. Z. P. i jego poszczególnych oddziałów.

Ostatnie strony przedstawiają bilans Zjednoczenia.

Majątek Z. Z. P. wynosi 726 413 mk. 90 fen. W r. 1909 wynosił majątek 572 398 mk. 67 fen. Przybyło zatem w ciągu roku 154 015 mk. 23 fen. Oddział górników oddał r. 1910 w całości czystego zysku do kasy zarządu centralnego już po opłaceniu kosztów administracyjnych 218 051,76 mk. czyli przeciętnie 5,65 mk. na członka. Oddział rzemieślników wpłacił 24 687,46 mk. czyli 3,08 mk. na członka. Oddział hutników wpłacił 30 157,39 mk. czyli 2,65 mk. na członka.

Liczba członków wynosiła r. 1909: 53 183; r. 1910: 62 516 i dzieliła się jak następuje: Oddział

górników	42 008	członków
hutników	11 386	„
rzemieślników	9122	„
	62 516	„

Z małych początków potężne jak widzimy powstało dzieło. Napełnia ono dumą nietylko robotników polskich, lecz całe społeczeństwo z radością patrzy na ten gmach społeczny, który sobie mimo rozliczne trudności zbudowali ci maluczcy, którzy każdy z osobna nikłą tylko przedstawiają siłę, lecz złączeni w jedno stanowią potęgę, z którą się swoi i obcy liczyć muszą. Oby Z. Z. P. nadal rozwijał się prawidłowo tak jak dotąd, oby mu przybywały tysiące nowych członków, aby jaknajlepiej mógł służyć celowi, który mu przyświeca, a jest nim poprawa doli robotnika, a przez nią poprawa doli całego społeczeństwa.

Srebrny Jubileusz Sokoła Poznańskiego.



Dwadzieścia pięć lat mija od czasu, gdy za pobudką kilku wybitnych jednostek, ożywionych najlepszemi tradycyami narodowemi, powstało Gniazdo sokole w Poznaniu.

Dwadzieścia pięć lat pracy w Gnieździe poznańskiem to 25 lat stałych dowodów życzliwości, poparcia i ofiarności społeczeństwa, to okres, w którym Gniazdo rozwinęło szeroko skrzydła idei sokolej, ogarniając niemi liczne rzesze młodzieży, różne warstwy społeczne miasta.

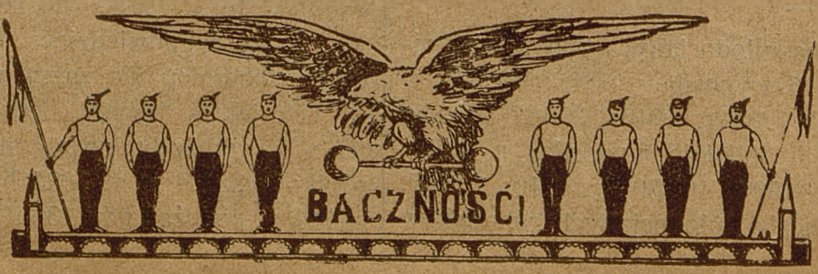
W dniach 4. i 5. czerwca b. r. złączy Gniazdo poznańskie swoje zastępy z zastępami bratnich Gniazd, aby w uroczystym nastroju święcić srebrne gody zaślubin ze Społeczeństwem, zdać sprawę z poczynionych postępów, wykazać nagromadzony już dorobek i pozyskać dalszą trwałą opiekę, pomoc, życzliwość i wszechstronne poparcie!

Zasyłając Sokołowi poznańskiemu na srebrne gody najserdeczniejsze życzenia wszelkiej pomyślności, witamy jednocześnie całem sercem druhów Gniazd bratnich, którzy przybyli do naszego prastarego grodu, by wziąć udział w uroczystości jubileuszowej naszego Sokoła.

„Gość w dom — Bóg w dom". Z Wami, Sokoły, istotnie zakrada się w pomrok naszej niedoli świetny, słoneczny promień, niby z nieba zesłany, co przeszywa ciało potężnym prądem nowego życia i roznieca iskry wiary w przyszłość.

Druhowie! Wy jesteście dla nas wcieleniem młodości, co „wylatuje nad poziomy", wcieleniem męstwa i rycerskości, wcieleniem zdrowego ducha polskiego w zdrowem ciele — zwiastunami lepszej przyszłości.

Czołem Wam, drodzy junacy!



Dzień hakatystyczny w Poznaniu.

Policya była przygotowana na to, że na zwołanej przez ostmarkenferein wielkiej hecy manifestacyjnej przynajmniej z 20 tysięcy osób zgromadzi się na placu Liwoniusza.

Na tyle też mniejwięcej liczyli sami hakatyści.

Jestto liczba bynajmniej nie wygórowana jak na zebranie odbywające się pod gołem niebem w mieście liczącem przeszło 150 tysięcy mieszkańców. Miano przecież obradować publicznie nad sprawą, od której załatwienia pomyślnego rzekomo cała przysłość kresów, ba, państwa całego zawisła. Mieli się przecież objawić oczom zebranych we własnej osobie najwięksi koryfeusze hakatystyczni. Toż sam Poznań łacno mógł dostarczyć 20 tysięcy Niemców, a prowincya powinna była liczbę tę podwoić lub potroić. Także na reklamie zjazdowi nie zbywało. Toż głośna jest scysya ostmarkenfereinu z rządem, a Poznań dzięki wystawie hakatystycznej i dzięki zniżonym biletom kolejowym stał się miejscem wycieczkowem. Atrakcyj więc różnorakich nie brakło.

Lecz jakież było rozczarowanie powszechne, gdy się pokazało, że mała tylko część placu Liwoniusza była zapełniona publicznością. Zaledwie dziesiąta część spodziewanych uczestników się zebrała, a i w tej liczbie znaczną część tworzyli ciekawi, zwabieni odgłosami koncertującej na placu muzyki wojskowej.

Również w mieście samem zjazd hakatystyczny niczem nadzwyczajnem się nie zaznaczył. Kilka restauracyj i kawiarń wywiesiło chorągwie, tu i owdzie przewinął się ucylindrowany hakatysta z odznaką na klapie surduta, ruch uliczny nie większy był niż w zwykłe niedziele. Tylko na wystawie więcej niż zazwyczaj było gości.

Zewnętrznie zatem zjazd hakatystów prezentował się ubogo i nie był bynajmniej tą imponującą manifestacyą ludową, jaką z niego uczynić pragnęli jego instygatorzy i za jaką go wydają pisma hakatystyczne.

Wyraźne fiasko to jednak bynajmniej nie przeszkadza hakatystom głosić w pismach swych, że na zjeździe zebrało się 20, 25 a nawet 30 tysięcy osób. Gdy skreślimy w tych liczbach zera, natenczas zbliżymy się do prawdy istotnej.

Nie mają zatem hakatyści najmniejszego powodu chlubić się swym zjazdem. I jeżeliby tylko według liczby uczestników jego należało sądzić o losach polityki antypolskiej, natenczas moglibyśmy być spokojni zupełnie...

Obrady dnia hakatystycznego poruszały się w zwykłych przy tych okazyach formach. Niezwykłą była tylko treść wszystkich tam wygłoszonych mów i to nie pod względem utartej frazeologii antypolskiej i pseudopatryotycznej, lecz o tyle, o ile one uwydatniały ostre przeciwieństwo w stosunku do rządu, a przynajmniej do ministra rolnictwa barona Schorlemera.

Mowy te nadawały całej tej imprezie hakatystycznej niedwuznacznej i dobitnej demonstracyi wymierzonej przeciw rządowi, zwłaszcza przeciw ministrowi rolnictwa, któremu zresztą jeden z mówców z namaszczeniem bardzo krótki tylko prorokował żywot ministeryalny, a inny bez ceregieli radził coprędzej spakować manatki. Także urzędnicy skorzystali ze sposobności, by zsolidaryzować się kategorycznie z ostmarkenferejnem i jego działalnością i oświadczyli, że z towarzystwa pod żadnym warunkiem nie wystąpią. Było to do przewidzenia. I jakżeż urzędnicy nie mieliby sobie pozwolić na ostrą krytykę rządu i ministrów, skoro w skandalicznem tem z punktu widzenia rządu zebraniu uczestniczyli najwybitniejsi dygnitarze przeróżnych dykasteryj z prezesem Waldowem na czele?

Może teraz nareszcie prześwietny rząd pozna, jakiego piwa sobie nawarzył przez długoletnie forytowanie ostmarkenfereinu.

Jednakże, jakkolwiek ostre padały pod adresem rządu słowa, to jednak usiłowali prowodyrzy demonstracyi antyrządowej nie dopuścić do zupełnego z rządem zerwania. Postanowiono tedy podobnie jak za dawniejszych czasów wysłać telegram do kanclerza. Pokazało się, że zrobili mądrze, bo otóż kanclerz o dziwo! podziękował hakatystom najuprzejmiej za miłe pozdrowienia i wyraził radość, że zebrani nie pozwolili się w błąd wprowadzić pogłoskami bezpodstawnemi w rzekomej zmianie polityki antypolskiej i pragną nadal w zgodzie i ręka w rękę z rządem kroczyć drogą dotychczasową.

Telegram ten poucza nas, że słuszne są przewidywania prasy polskiej, która od samego początku przestrzega społeczeństwo nasze przed wszelkiemi złudzeniami. Należy go sobie dobrze zapamiętać jako wyraźną zapowiedź, że w polityce antypolskiej żadna zmiana na korzyść naszą nie nastąpi. Jest on i o tyle znamienny, iż naczelnik rządu przeciwko któremu fronduje bractwo trzech liter, telegramem tym frondującym złote buduje mosty...

Jak o kwestyę wywłaszczenia wszczął się zatarg pomiędzy ostmarkenvereinem a rządem tak też i w obradach dnia niemieckiego sprawa ta z natury rzeczy najwybitniejsze zajęła miejsce.

Chodziło przecież o to, by rząd zmusić do ekspropryacyi Polaków, by pokazać, że „głos ludu“ domaga się kategorycznie wywłaszczenia Polaków. W tym celu głównie inscenizowano całą tę hałaśliwą i niesmaczną hecę.

Jednakże „głos ludu“ bynajmniej się nie odezwał. Ogół niemiecki dał w tej mierze odpowiedź wystarczającą i dobitną przez to, że na zjeździe świecił nieobecnością.

Gdyby bowiem Niemcy naprawdę uważali wywłaszczenie za istotną sprawę żywotną, za sprawę, od załatwienia której w myśl hakatystów spokój, bezpieczeństwo i honor Prus zawisły, natenczas pewną byłoby rzeczą, że byliby się rojnie stawili na placu Liwoniusza i byliby głosem wielkim domagali się zastosowania tej ustawy.

Rzeczywistość tymczasem zgoła odmienny przedstawiała obraz. Spostrzegli to także hakatyści. Nic więc dziwnego, że w znacznem rozczarowaniu opuszczali Poznań, nic więc dziwnego, że prasa ich pomnaża w nieskończoność liczbę uczestników, aby w ten sposób podnieść znaczenie uchwał hakatystycznej manifestacyi do rozmiarów niemal referendum ludowego.

Czy rząd pozwoli się takiemi sztuczkami zepchnąć z raz zajętego stanowiska, czy ugnie karku pod jarzmo kaudyńskie hakatystów? Któż na to zdoła odpowiedzieć. Uniżony niemal telegram kanclerski niezbyt pomyślnym zdaje się być prognostykiem. A jednak byłby czas najwyższy, żeby rząd nauczył rezonu swych ongiś gagatków, których zbytnia pobłażliwość i słabość rządowa pozbawiła wszelkiej równowagi sądu i wszelkiej miary właściwej.

Rozprawiać się z frazesami wygłoszonemi na zjeździe nie widzimy potrzeby. Zbyt one znane i zbyt często je zbijano, by jeszcze raz je zbijać.

Znakomite były wywody mające

wykazać, że dzielnice polskie są „ein urdeutsches Land.“ Gdybyśmy w podobny sposób, a z większem prawem, chcieli apostrofować połowę Niemiec dzisiajszych jako krainę prasłowiańską, wyśmianoby nas. Hakatyści jednak nie czują wcale śmieszności swego fałszywego patosu, z którym wielbią t. zw. marchie wschodnie jako odwieczną swoją ojczyznę. Najkapitalniejszy jednak był p. Tiedemann, gdy z miną baranka niewinnego zapewniał, że Niemcy nie są winni, iż w dzielnicach naszych walka się toczy, tylko Polacy, a tezę swoją uzasadniał tem, że w charakterze niemieckim spoczywa potrzeba głęboka pokojowego z sąsiadami pożycia.

No, najlepszą ilustracyą tego pokojowego usposobienia Niemców jest ich historya, ich wyprawy podejmowane ogniem i mieczem w krainy słowiańskie, rozbiory Polski, polityka eksterminacyjna, a nareszcie sam sławetny ostmarkenferein, który — jak wiadomo powszechnie — Polakom nieba pragnąłby przychylić...

Dzień niemiecki minął, a Poznań i dzielnice nasze pozostały tem, czem były. I wiele jeszcze takich dni przeminie i hakatyści sami przeminą, a kraj nasz i my pozostaniemy tem, czem jesteśmy.

Nie zmieni w tem nic i wywłaszczenie.

Minęły bezpowrotnie czasy, kiedy można było wytępić lub wynarodowić narody. Tę prawdę zrozumieją także w Prusach. I naszą rzeczą jest zrozumienie to szerzyć, słuszność tej prawdy unaoczniać. A jedyna ku temu droga: zachować wierność samym sobie i pracować. We własnej bowiem duszy narodu złożony jest los jego i własne narodu ręce kują jego dolę...

Głosy od przyjaciół.

Z nad Warty.

Sławne i piękne kiedyś Dębno nad Wartą przechrzcono obecnie mimo protestu interesowanych stron na Eichenried, mówię sławne, gdyż jest miejscem urodzenia sławnego kronikarza, biskupa gnieźnieńskiego Wincentego Kota. Tenże biskup pobudował i ufundował w Dębnie kościół w stylu gotyckim pod wezwaniem Matki Boskiej Wniebowziętej, 500 lat stojący. Dębno sławne było też z zakładu leczniczego, do którego się rozmaici goście zjeżdżali za czasów, gdy miejscowość ta była w ręku hr. Mycielskiego.

Za pamięci piszącej umarło w Dębnie trzech księży proboszczów. W roku 1890 umarł śp. ks. Edward Kośnicki rodem z Rawicza; był proboszczem przez lat 40 w Dębnie, pochowany w grobowcu przy kościele.



† Ks. Konrad Kempiński.

Ś. p. ks. proboszcz Konrad Kempiński rodem z Poznania umarł nagle, gdy się zabierał do mszy św. w roku 1903. Ś. p. ks. Kempińskiemu zawdzięczamy, że posiadamy w kościele dębińskim drzewo z krzyża Pana Jezusa.

Ś. p. ks. proboszcz Ludwik Rakowicz rodem z Wronek, był w Dębnie zaledwie pięć lat; jak mógł tak pracował podług sił swoich, pochowany w Wronkach w roku 1909. Nieboszczykowi parafianie z wdzięczności ofiarowali piękną tablicę pamiątkową.



† Ks. Ludwik Rakowicz.

Obecnie ku uczczeniu pamięci śp. księdza Konrada Kempińskiego ofiarowali parafianie kościołowi w Dębnie figurę, której poświęcenie odbyło się dnia 29-go maja. Wszystkim ofiarodawcom na powyższe cele składa się serdeczne Bóg zapłać.

Obecnie mamy proboszczem księdza Stanisława Wyrzykowskiego z Jaraczewa, którego bardzo szanujemy. Oby Serce Jezusa sprawiło, iżby był między nami jak najdłużej!

Parafianka.

* * *

Louvain, d. 26. maja 1911.

D. 25. maja urządziło Stow. „Filaretów“ w Lowanium obchód konstytucyi 3. maja. Słowo wstępne wygłosił przewodniczący ks. J. Wielebiński. Następnie ks. J. Bartkowski wystąpił z odczytem, w którym pięknie i treściwie przedstawił czas przed konstytucyą oraz wielką doniosłość konstytucyi samej dla narodu naszego, u którego wieki całe będzie brzmiała echem radości i zarazem doda wiary w lepszą przyszłość. Potem ks. J. Chylewski w swoim odczycie na temat „Religia i narodowość“ wykazał, iż katolicyzm nigdy nie przeszkadzał rozwojowi ducha narodowego, lecz przeciwnie potęgował go, a z drugiej strony prawdziwy Polak-katolik potrafi uszanować inne wyznania, którym to właśnie konstytucya 3 maja dawała wolność całkowitą. Wreszcie ks. przewodniczący, zwróciwszy uwagę zgromadzonych na to, iż twórcy konstytucyi zrzekający się swoich przywilei i praw dla rozsiewu sprawiedliwości, powinni być dla nas przykładem, podał jako obowiązek każdego miłującego Ojczyznę szukania zwycięstwa nad sobą samym, gdyż dopiero wtedy zdołamy złamać na zawsze siłę wrogów. Konstytucya nie jest tylko tłem do wspomnień pamiątkowych, lecz przypomnieniem pola do pracy. „Stać nie wolno żywym“, i dlatego postulatem dla nas powinno być: „Iść naprzód! i Iść wyżej“, bo kto nie idzie naprzód, ten się cofa. Konstytucya była czynem wiodącym wyżej. Ona musi być aktem spełnianym teraz, gdy mamy dążyć do odrodzenia narodowego. Życzeniem, aby hasło: „Wolni z wolnymi! równi z równymi!“ we wielki zamieniło się czyn i przyspieszyło lepszą przyszłość, zakończył mówca, poczem zaśpiewano „Witaj majowa jutrzenko“ oraz „Boże coś Polskę“.

X.

Nie wszyscy mają przeznaczenie pracować nad posunięciem umiejętności, której się dotkną, ale i to się przyda, kiedy ją upowszechnią.

Józef Moraczewski.

* *

Udzielaj majątku potrzebnym; szafarzami jesteśmy tego, co nam Bóg użyczył.

Biskup Ignacy Krasicki.

Ustęp z poematu Stanisława Wyspiańskiego

p. t. „Kazimierz Wielki")*

XXVI.

Wtem usłyszałem jakby do grobowca
stukanie — — —
i jakby się obsuwał złom granitu;
uczułem, że się łyska wierzch pokrowca
złotemi nićmi od jakiegoś świtu;
znów woń kadzideł palonych z jałowca
i jakiś strop z gwiazdami i z błękitu —
— W kościele byłem trup; więcem się
wzdrygnął
i naraz kamień tumby ktoś podźwignął.

XXVII.

Tu, gdzie leżałem ja, w grobu pomroczy,
pochodni łuna zajrzała gorąca
i na prost oczu moich czyjeś oczy·
i twarz, w wyłomie muru płomieniąca;
w zorzach się ludzi cichych kilku tłoczy;
żarem się runi twarz moja jaśniąca; —
próchno, zbutwiałe stroje, szata zgniła
nagłą purpurą ognia się paliła.

XXVIII.

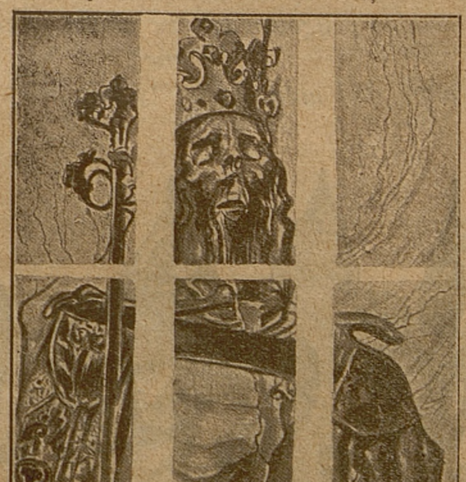
I to raz zajrzy ktoś, to się odchyli;
raz buchnie światło prędsze, znów przy-
gaśnie
i głowa czyjaś inna; — patrzą czyli
jestem, — bo imię moje szepcą właśnie;
kilku, — bo żywo słowami gwarzyli;
znów kamień ważą taranem hałaśnie.
Spadł; — oni oto naraz zmilkli, dyszą...
— Ujrzeli, jakom jest grobem i ciszą.

XXIX.

Doczesności sie moje już skończyły?
Więc jużem w proch się starł i skruszył;
to jeno strzępy z szat, co złote były?
Jedwab spopielił się, w pył się rozpró-
szył.
A czemże są wielkości, co się śniły?
z których-em państwu wił Los, świet-
ność tuszył?
Loch grobu czarny, zgnilizna, te łuny!
Szły po mnie dreszczem podziemne pio-
runy.

XXX.

Ogromny łoskot słyszałem ostatni
z pod sklepów ciemnych głębokiej cze-
luści,
długotrwający, — ginął w piwnic klatni
a jeszcze tylko wichrem tęskno szuści...
cichnie. — Już ludzie ci, jak moi szatni,
— a niech im nagłość chwili Bóg odpu-
ści —



Kazimierz Wielki.
Witraż St. Wyspiańskiego.

jęli się zdzierać ręką szat purpury
i złotogłowu szarpać złote sznury.

XXXI.

A już się było Światło dzienne wdarło
w grób i stanęło urągać w rozłamie:
„Otożeś król" — już słowem-krzykiem
żarło —
„Korona twoim próchnom marnym kła-
mie!
Co było w tobie potęgą, umarło.
Król-żeś ty? — próchnem łyska zeschłe
ramię!"
A mnie tu łzami wstydu twarz pociekła
i czarność na się i mroki nawlekła.

XXXII.

I stało się, żem wszystkie siły stężył,
kościec, — modlitwą jedną wstydu stra-
szną, —
jak w konającym bolu, raz rozprężył
i zatrząsł samym sobą; — — tę ruba-
szną
gawiedź ciekawą trwożąc, bom zacię-
żył
nad nimi Grozą Śmierci nieustraszną:
sypiąc się w proch, co jeszcze łudził
zsiadły;
w popioły kości rozprzęgłe opadły.

XXXIII.

Stała tych ludzi półkolem gromadka;
jedni tarany dzierżą, kute młoty -
jakaś zbłąkana, bezpańska czeladka; —
inni papierów pliki, kreślą noty,
sprawdzają, biorą gromnic żar na
świadka;
to ku koronie łysną; na pozłoty -
wpółbiedrza,... wszędy ciekawi i skrzę-
tni,
aż ustali: — już tylko na mnie patrzą,
smętni.

XXXIV.

Nad prochami ksiądz śpiewał umarłych
Wilije; — —
mnie człowiek jakiś za kościec ujmo-
*wał,**)*
jakby w me ręce składał serce czyje,
jakby mię prosił o co, czy dziękował;

*) Scena przedstawiona na obrazie, reprodukowanym na karcie albumowei „Pracy", natchnęła nieśmiertelnego poetę naszego St. Wyspiańskiego do napisania poematu p. t. „Kazimierz Wielki", z którego ustęp stosowny przytaczamy. Również wspaniały witraż Wyspiańskiego, którego reprodukcyę zamieszczamy, zawdzięcza swe powstanie zobrazowanej na karcie albumowej chwili.

**) Jestto Matejko, któremu Wyspiański hołd wzruszający składa.

ślubował wskrzeszać narodu Gloryje,
że i mnie, chociem król, a dreszcz przejmował;
— spowiadał mi się z bolu i żałości,
szeptał o jakiejś ofierze miłości.

XXXV.

Był mały, jako ludzie ciałem drobni
i przygarbiony nie wiekiem, lecz pracą;
był z tych, którzy są Aniołom podobni,
których żywoty wiele wykołacą,
gdy się w nich święta duma odosobni,
gotowi się poświęcać, mając za co; —
do pocałunku głowę chylił w długich lokach,
z oczu mu gorzał żar — taki w prorokach.

XXXVI.

„Przed tobą jako Skarga się rozpłaczę
i załamię ręce w dnie rozłamu
i zabarwię twe dumy junacze
i napiętnuję Rozpacz wobec Kłamu,
byś mię poznał, jak opowiadacze
i byś nie brał mnie za kupce kramu.
Oto czytaj w sercu i sumieniu,
dając duszę w tem rąk uściśnieniu“.

XXXVII.

„A to są moje łzy, których nie spatrzy
człowiek, coby się moim łzom urągał
i ś'edził po mej twarzy, czym nie bladszy
i horoskopy mej duszy wyciągał
a w tajemnice moich nędz się wkradszy,
duchem mnie do niewoli zaprzągał;
a to są moje łzy, teraz płynące
na łachman króla płaszcz i kości schnące“. —

XXXVIII.

„A jeżli żywot mej ziemskiej niedoli
będzie przedłużon w starość późną, siwą —
i rosnąć duchem Bóg słudze pozwoli
i przyjmie pracę wysługi cierpliwą;
już serce szczęścia nadmiarem wyzwoli
a chwilę Śmierci-wyzwolin szczęśliwą
będę zwał; — tyle wielkich serc upadło,
tylu już smutnych do grobu się kładło“.

XXXIX.

Patrzył się na mnie i taką wymową
serca... Czy były to anielskie warty:
ci ludzie, światłem duchy sobie bliźnie;
żałobnych skrzydeł krąg nademną zwarty
i szept ten: „Niebios Najświętsza Królowo, —
dopuść, by godne ostateczne Słowo,
którem mi przyjdzie zamknąć żywe karty,
było: Błogosław Boże mej Oiczyźnie“.

XL.

Nie rozumiałem, co mówił, co szeptał...
Jakież to chwały wskrzeszać? Gdzie zapadłe?
Któż Sławę ich pohańbił i podeptał?
Ich-że to modły ciche, w lęku zbladłe?
Gdzież króle, moi następcy dziedziczni!
Jakie Ofiary-miłości przepadłe? —
Czemuż ci, jakby wszyscy, choć nie i-czni,
tacy powagą starzy —

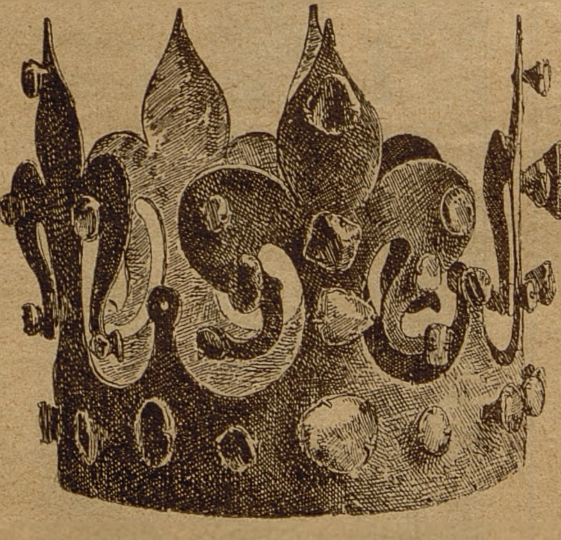
XLI.

Jakież ubiorki ich czarne, żałobne
i dłonie obu rąk drżą załamane.
Czyli wysute już śpichrze zasobne;
w skarbnicach skrzynie denarów wybrane; —
jedne im oczy te łzami ozdobne,
jak perły czyste i niepokalane;
o łzy te święte, wzruszeniem płynące,
na łachman króla-płaszcz i kości schnące. —

XLII.

Teraz-że pojrzę bliżej w ich oblicza,
jak ich postawy uroczyste, skromne;
że światłość na ich czołach posłannicza,
że dumy-szczerbce i jeszcze niezłomne;
że w serca szpona się wpiła zbrodnicza
zawodów, męczeństw, że klęski pogromne
wielką nad nimi zaciążyły chmurą

. . . .

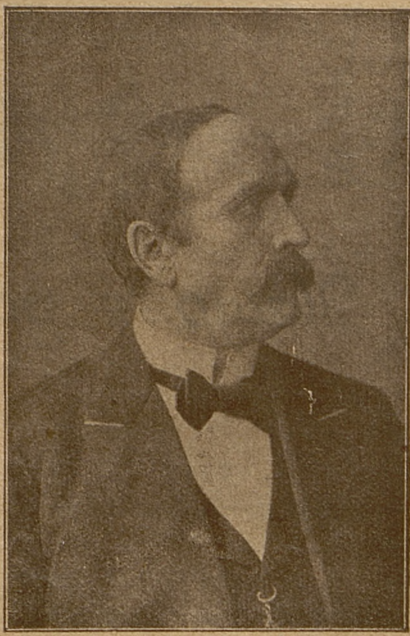


Korona Kazimierza Wielkiego,
znaleziona w grobie.

Z bieżącej chwili.

Złoty jubileusz małżeński

obchodził w ubiegły poniedziałek zasłużony nasz poseł Leon Czarliński z godną swą małżonką. Sędziwemu szermierzowi narodowemu, posiwiałemu w ciężkiej służbie na arenie parlamentarnej oraz towarzyszce jego, zacnej matronie polskiej, składamy nasze najserdeczniejsze życzenia. Oby ich Pan Bóg zachować raczył jak najdłużej przy czerstwem zdrowiu i pozwolił im obchodzić dyamentowe gody weselne w szczęśliwych dla ojczyzny warunkach!



Poseł Leon Czarliński.

* * *

Abdykacya prezydenta Meksyku.

Sędziwy prezydent meksykański Porfirio Diaz przesłał parlamentowi pismo, w którem donosi o abdykacyi swej po 30 letniem (!) panowaniu. W piśmie tem zaznacza, że jak zawsze, tak i teraz szanuje wolę ludu i dlatego ustępuje bez wszelkich zastrzeżeń, nie chcąc narażać kraju na dalsze niepokoje i przelew krwi.

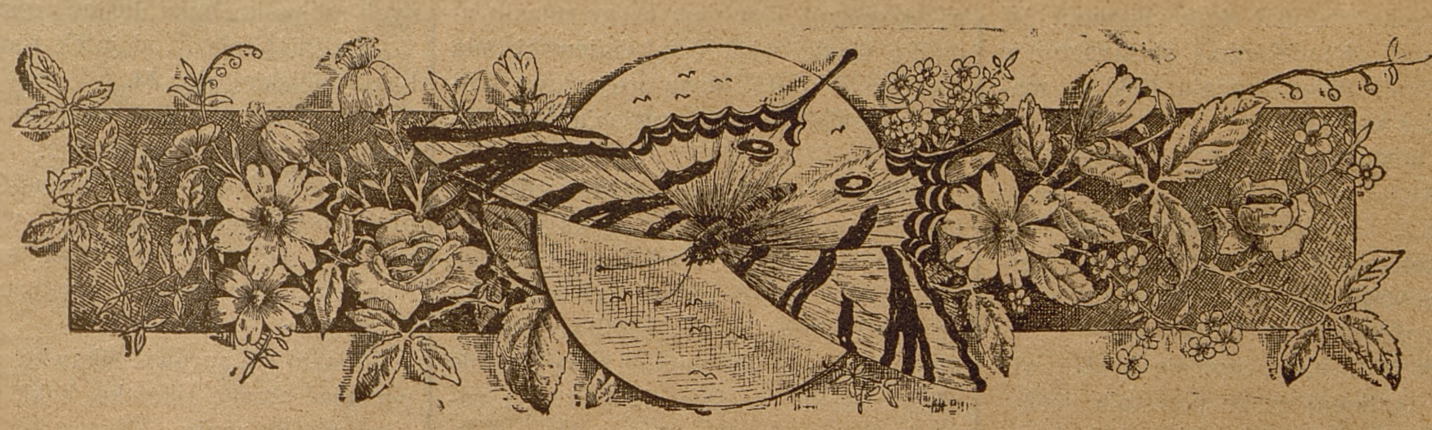
Parlament przyjął jednogłośnie abdykacyę prezydenta, poczem obrano De



Prezydent Diaz.

la Barra prowizorycznym prezydentem. Zaraz nazajutrz złożył de la Barra przysięgę na konstytucyę.

Na ulicach demonstował lud na rzecz Madera. Dominguez, zastępca Madera, wygłosił do tłumów mowę, w której oświadczył, że 5000 wojska rewolucyonistycznego przygotowanych było do zajęcia śródmieścia Meksyku, gdyby Diaz nie był ustąpił. W dalszym ciągu odbywały się demonstracye na cześć posła amerykańskiego Wilsona.



Wolsztyn i jego dziedzice.

Skreślił
Dr. Stanisław Karwowski.

(Ciąg dalszy.)

Na początku 1725 r. wiele osób, z samej gminy luterskiej 48, popadło w gorączkę, która się szałem, a w wielu wypadkach śmiercią kończyła. Choroba ta trwała do końca stycznia. Potem zrywały się wielkie burze i wichry, raz nawet było trzęsienie ziemi, skutkiem czego mieszkańcy wiele strat ponieśli [1]).

W r. 1726 po ostrej zimie i głębokim śniegu, który leżał do końca marca, nastała bardzo sucha, gorąca wiosna, tak, że już na śś. Piotra i Pawła były żniwa. Jarka całkiem wyschła. Pomimo to cena żyta wbrew wszelkim przypuszczeniom była niska [2]).

Na początku 1728 r. znowu wybuchła zaraźliwa choroba, później niezliczona moc liszek i szarańcza zniszczyły owoce, warzywa i zboże, szalały też okropne burze, a w środę przed niedzielą po ś. Trójcy straszliwy orkan trwogą przejął wszystkich i wielkie szkody wyrządził, wreszcie dnia 27 sierpnia pożar [3]), który wybuchł o północy, obrócił w perzynę najlepszą część miasta: rynek, ulicę, prowadzącą stamtąd do kościoła katolickiego, i ulicę Kaczą, przyczem spaliło się ciało zmarłej przed 6 godzinami żony kantora Spechta, który nadto jak wielu innych stracił całe swe mienie. I w tym pożarze, jak we wszystkich poprzednich, ocalały kościoły katolicki i luterski, Biała góra i ulica kościelna luterska.

W tymże samym roku, dnia 5 października, sprzedali *Andrzej i Jan Niegolewscy*, synowie Michała i Krystyny Czackiej, a dziedzice Wolsztyna, Komorowa, Karpicka, Małego Niałka i Berzyny na mocy prawa dziedzicznego i komplanacyi ze stryjem Kaźmierzem Niegolewskim, starostą powidzkim, znacznie odłużone dobra wolsztyńskie *Franciszkowi z Błociszewa Gajewskiemu* herbu Ostoja, staroście kościańskiemu, późniejszemu kasztelanowi konarskiemu [4]).

Dobra składały się z miasta Wolsztyna, oraz wsi Berzyny i Niałka Małego z Olędrami Karpickimi i Komorowskimi. Cena wynosiła 181,260 złp., a długi na nich w tejże wysokości były takie:

1. *Teresa z Niegolewskich*, żona Franciszka Miaskowskiego, miecznika wschowskiego, miała na dobrach sumy posagowej 40,000 złp., prowizyi zaległej 16,000 złp.

2. *Ludwika z Niegolewskich* Doręgowska miała na nich sumy posagowej 40,000 złp., prowizyi zaległej 8000 złp.

3. *Zygmunt i Ernest Drzewieccy*, synowie niegdy Mikołaja, 30,000 złp., pretensyi 3000 złp., przez transfuzyą od Kołaczkowskiego nabytych 5000 złp.

4. *Barbara z Gaszyńskich Maciejowa Gorzeńska* 13,000 złp.

5. *Jadwiga z Racięskich Racięska* 12,900 złp.

6. *Zygmunt Dziembowski*, Powodowa i części Wielkiego Niałka dziedzic, 2000 złp., prowizyi zaległej 1300 złp.

Nadto rościł sobie kościół sielecki prawo do 1500 złp. i tyleż kościół żernicki, które to sumy, gdyby się okazało, że im się nie należą, miały być wypłacone Niegolewskim.

Franciszek z Błociszewa Gajewski, starosta kościański, kasztelan konarski, ożeniony z *Wiktoryą Choińską*, był synem *Łukasza*, kasztelana santockiego, i *Elżbiety z Kuczborga Kuczborskiej*, a wnukiem *Wojciecha*, kasztelana rogozińskiego, i *Apolinary z Bnina Opaleńskiej* [5]).

Przy podziale dóbr ojcowskich, dokonanym w Czaczu 1703 r., za pośrednictwem stryja Franciszka, kasztelanica rogozińskiego, otrzymał był *Franciszek Gajewski* Czacz, Przysiekę Polską, Zimino, część Karśnic i część Księginek, brat zaś jego *Stanisław* Suśnię, Wielowieś, Unisław, Rosnowo, Rosnówko, Jarosławice i dezertę Skoraczewo [6]).

Po objęciu majętności wolsztyńskiej potwierdził Franciszek Gajewski 1729 r. lutrom przywilej kościelny za opłatą 3 dukatów [7]).

W r. 1730 znowu szarańcza i liszki wielkie wyrządziły szkody mieszczanom wolsztyńskim [8]).

W tymże roku zamienił Franciszek Gajewski folwark Karpicko na Olędry, osadzając w nim Niemców luterskiego wyznania, a od króla Augusta II. wyjednał dla Wolsztyna dodanie do 7 jarmarków 4 nowych [9]).

W dwa lata później (1732) przejeżdżał dwa razy przez Wolsztyn August II, król polski. Za drugim razem wysłuchał mszy św. w kościele katolickim.[10])

W tymże roku (1732) kupił Gajewski Tłoki od Ernesta Seydlica, a w rok później (1733) w środę przed Świątkami umarł.[11]) Był on, jak jego potomkowie, dla luterskich poddanych łaskawym panem.

Dziećmi jego, z *Wiktoryi Choińskiej* zrodzonemi, byli:

1) *Andrzej*, zmarły bezpotomnie,

2) *Antoni*, kasztelan nakielski, ożeniony z Izabelą Mycielską,

3) *Rafał*, ożeniony 1° z Józefą z Brudzewa Mielżyńską, 2° z Katarzyną z Tworzyanek Tworzyńską,

4) *Anna*, żona Józefa Potockiego, kasztelana kamienieckiego.

[1]) Akta, tyczące się majętności wolsztyńskiej.
[2]) Akta, tyczące się majętności wolsztyńskiej.
[3]) Akta, tyczące się Otoczna, Gajewskich i Skarbków.

[4]-[7]) Historya kościoła luterskiego.
[8]) Historya kościoła luterskiego.

[9]-[10]) Historya kościoła luterskiego.
[11]) Akta, tyczące się majętności wolsztyńskiej.
[12]) Historya kościoła luterskiego.
[13]) Akta, tyczące się majętności wolsztyńskiej.

Z tych otrzymał *Rafał* na mocy testamentu ojcowskiego, spisanego w Wolsztynie dnia 11 maja 1733 r., majętność wolsztyńską.

W następnym roku obchodzono w Wolsztynie w niedzielę Sexagesimae uroczyście koronacyą Augusta III. Podczas kazania w luterskim kościele zerwał się straszny orkan, który przeraźliwym zakończył się piorunem.[1])

Rok 1737 zaznaczył się wielką wilgocią, skutkiem czego powstała drożyzna. Na jakąś zaraźliwą chorobę całe rodziny wymierały, zaraza padła też na bydło, wreszcie gwałtowny wicher obalił wieżę kościoła ś. Katarzyny w Komorowie, a wieżę kościoła luterskiego uszkodził.[2])

W tym roku ewangelik Fiedler został burmistrzem, a drugi, Blach, kolektorem, z czego wnosić należy, że lutrzy w tym czasie zyskali liczebną przewagę w mieście.

Rok 1739 znowu był bardzo niepomyślny. Najprzód spadł grad tuż wokoło miasta, potem w ciągu lata pojawiły się wilki pod Wolsztynem i wiele szkód wyrządzały, wreszcie nastała tak ostra zima, że ryby w jeziorze wolsztyńskiem pomarzły; kto je jadł mimo zakazu, popadał w śmiertelną chorobę.[1])

Natomiast rok 1742 wielkie korzyści przyniósł mieszczanom, tak się bowiem obrodził owoc w Wolsztynie, gdy przeciwnie wiele mil wokoło wcale go nie było, że z dalekich stron, np. z Głogowy, poń przybywano i wysokie płacono ceny.[2])

W r. 1745 następujące bractwa były w mieście:

1) *szewskie*	członków	41.
1) *strzeleckie*	—	8.
3) *sukiennicze*	—	11.
4) *stolarskie*	—	8.
5) *piwowarskie*	—	14.
6) *piekarskie*	—	9.
7) *garncarskie*	—	4.
8) *krawieckie*	—	12.
9) *kuśnierskie*	—	9.
10) *kowalskie*	—	3.
11) *rzeźnickie*	—	5.

Do żadnego cechu nie należało 12 rzemieślników, pomiędzy nimi niejakiś Libelt.

Domów żydowskich było 27. Burmistrzem był Walenty Stanczewski.[3])

W r. 1751 straszny pomór bydła zubożył wielu mieszczan.[4])

Już w r. 1743 kazał Rafał Gajewski generalnemu swemu komisarzowi, Wojciechowi Radomskiemu, zaprowadzić nową ordynacyą miejską. Atoli nie stosowali się do niej ani burmistrze ani rajcy, dochody sobie przywłaszczali, rachunków nie zdawali, porządku nie przestrzegali, skutkiem czego miasto upadło. Wydał więc Rafał Gajewski dnia 4 stycznia 1769 r. nową ordynacyą, której główniejsze postanowienia były takie:

Wybór burmistrza i rajców odbywa się nazajutrz po Nowym Roku po wysłuchaniu mszy św. do ś. Ducha. Zamek potwierdza ich, poczem wybrani składają przysięgę, że sprawiedliwość prędko i sumiennie wymierzać będą i to nie przy kuflach po domach, lecz na ratuszu.

Od większych spraw płaci się 6 złp. za sesyą, od mniejszych 3—4 złp., a gdy strona prosi o zwlokę, od drugiej sesyi nic się nie płaci.

Pisarz ma protokuły w jednę księgę wpisywać, ale zapisów przedaży gruntów, domów, ogrodów bez wiedzy zamku nie czynić, za wyciągi z ksiąg miejskich ma pobierać w sprawach większych 6 złp., w mniejszych 2 złp., od zapisów większych 6 złp., od innych po złotemu od arkusza.

Od wszystkich spraw część jedna grzywien wedle proporcyi ma być oddawana do zamku.

Przy zapisach domów miejskich, gruntów i ogrodów płaci się od każdych 100 złp. 4 złp., z których 2 należą się dziedzicowi, a 2 urzędowi.

Nikogo do miasta ani też do cechów bez wiedzy zamku przyjmować nie wolno, osiadający zaś płaci dwie części od przyjęcia prawa miejskiego dziedzicowi, trzecią miastu, a czwartą urzędowi.

Pogłówne płaci każdy.

Dla wybierania targowego, jarmarcznego i brukowego mają być trzy szlaki: jeden przy bramie Niałeckiej, drugi na Białej górze, a trzeci w ulicy Żydowskiej. Pieniądze kładzie się do trzech skarbon zamykanych. Za niepilność i nierzetelność płaci wybierający trzy grzywny do zamku i trzy do kasy miejskiej.

Dochód z 8 jarmarków należy do zamku. Podczas takich jarmarków pieniądze wybierają ludzie dworscy.

Żadnego podatku na obywateli bez pozwolenia dziedzica nakładać nie wolno. Na żołnierza krajowego czy obcego płacą żydzi grosz szósty.

Składka na stróżów nocnych, miejskiego i organistę wynosi z domu rocznie 3 złp. 6 groszy, od komorników po groszy 24, żydzi płacą roczną sumę ryczałtową w ilości 46 złp.

Organista pobiera rocznie 120 złp., dwaj stróże i miejski po 60 złp.

Przysięgły wagmeister pobiera od kamienia wełny po groszy 2, od innych przedmiotów po groszu do kasy miejskiej, na końcu roku zaś przy generalnych rachunkach ma dostać grosz trzeci.

Rzeźnicy płacą od jatek rocznie do kasy miejskiej złp. 24.

Urzędnicy składać mają co kwartał rachunki, a co rok generalne.

Ponieważ skutkiem niesumienności urzędników miasto zabrnęło w długi, więc nie wolno burmistrzowi szafować pieniędzmi bez wiedzy dziedzica i pospolstwa.

Miasto ma sprawić sikawkę, a każdy ma mieć ręczną sikawkę, haki, drabki i naczynia do wody.

Ponieważ w kasie pustki, więc ci, co na reparacyą studzien pieniądze wybierali, a ich nie reparowali, mają zwrócić pieniądze, to samo mają „pod sumieniem“ uczynić ci, co przez lat wiele wolnymi się czynili od podatków rzeczypospolitej, pańskich i miejskich, jako to pogłównego, czopowego, szelężnego, młynkowego, kotłowego, talerowego i składkowego.

Burmistrzowie przynajmniej od lat 6 mają oddać miastu jarmarkowe, targowe, brukowe, wkupne, pieniądze od wagi, rzeźników i żydów.

Dwaj mieszczanie osiadli, wyznaczeni przez burmistrza, mają z komisarzem co miesiąc rewidować kominy, górki i komórki, gdzie pod utratą nie wolno chować siana ani słomy.

Po dwóch mieszczan będzie kolejno ze stróżami obchodzić nocą miasto i zamek.

Komornicy i komornice bez rzemiosła uprząść mają kądzieli po 3 sztuki do zamku albo dać po 3 złp.

Za pastwisko od bydła miejskiego płaci się od sztuki po złotemu.

Młodzi winni są czynić posługi starszym „niesprzeczne i nieuporczywe“ pod winą komórki i grzywien pięciu za nieposłuszeństwo.

Podatki winni płacić wszyscy punktualnie pod karą komórki, utraty rzemiosła i handlu, prawa ważenia piwa, a nawet pod utratą dóbr.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Szatan w ciemnościach łowi; jest to nocne zwierzę;
Chowaj się przed nim w światło, tam cię nie dostrzeże.

Adam Mickiewicz.

Międzynarodowa wystawa hygieniczna

w Dreźnie.

W uroczym „Grosser Garten“ Drezna rozpościerają się piękne pawilony międzynarodowej wystawy hygienicznej.

Całość przedstawia się wspaniale, przytem trzeba przyznać, że komitet wywiązał się bardzo dobrze ze swego zadania. Publiczność zwiedzająca poznaje naocznie zasady hygieny, gdyż przez odpowiednie okazy wprowadzoną jest w walkę medycyny i towarzystw dobroczynnych z alkoholem, gruźlicą, chorobami płciowemi; widzi na modelach zastraszającą ruinę wewnętrzną i zewnętrzną ciała ofiar nierozważnych i nałogowców różnego gatunku. Nie kontentując się jednak wykazaniem zgubności chorób, daje wystawa rzut oka na sposoby leczenia, sposoby wystrzegania się chorób i robi horoskopy rozwoju walki z chorobami w przyszłości; które wszystkie nieomal brzmią pocieszająco.

Dać ulgę cierpiącej ludności, oto motto wystawy, a ulgę znajdzie ludność kulturalna, mająca oczy otwarte i wyzbyta przesądów i fałszywej wstydliwości.

Kierując się chęcią wtajemniczenia zwiedzających w zasady budowy ciała ludzkiego, dał komitet cały szereg okazów ludzi chorych i zdrowych, a wreszcie organów wewnętrznych chorych i zdrowych, popierając demonstracye mikroskopijnemi preparatami, które setkami stoją gotowe dla ciekawego oka w osobnej hali. W pawilonie: „Der Mensch“ (człowiek) spostrzegamy słój szklany wielkości dużej beczki z zawartością 365 litr. krwi. Oto krew, poucza napis, która przez pół godziny przechodzi przez serce człowieka. Wiadomem jest, że podczas pół godziny okrąży krew kilka razy ciało człowieka i dlatego ilość ta dochodzi do takich rozmiarów.

W następnych pawilonach widzimy modele miniaturowe urządzenia różnych domów chorych, ochron dla dzieci, widzimy miasta zbudowane na zasadach hygienicznych jak specyalnie Hildesheim, w którym magistrat dba o świeże powietrze dla mieszkańców, pozwalając budować tylko domy w otoczeniu ogrodu założonego jednocześnie. Miasto powinno posiadać płuca naturalne w drzewach i zieleni, jeżeli ludność ma pozostać zdrową.

Odstraszająco działa pod tym względem Londyn. W Londynie bowiem aż 70 procent dzieci szkolnych jest umysłowo i cieleśnie za słabych do wymaganego postępu w naukach, a stosunki się pogarszają z roku na rok.

Berlin dostarcza procentualnie mniej rekrutów niż wieś i mniejsze miasta, chociaż lekarze wojskowi zapewniają, że w Berlinie właśnie mniej zwalniają od wojska i mniej uwzględniają różne braki cielesne, aby jako tako wypełnić puste strony listy poborowej. Wystawa zatem wskazuje drogi do hygienicznego urządzenia miast i mieszkań, aby dzieci w zaduchach nie karłowaciały i nie dochodziły do przedwczesnej starości.

Tabele różne wykazują, że wielkomiejskie dzieci wychowane w niezdrowych dzielnicach więcej się skłaniają do występku. Łatwo sobie ten objaw wytłomaczyć można, jeżeli się zważy, że cierpliwość przy znoszeniu chorób jest trudną i że właśnie choroba wytwarza niezadowolenie, neurastenię i poczucie krzywdy, które wybucha na zewnątrz jako złość i niechęć ku drugim. Jaki kontrast stanowią do nich dzieci wiejskie, krzyczące i śmiejące się, które mają wszelkie dane do wyrośnięcia na ludzi porządnych, jeżeli ich nie spaczy zły przykład, lub jeżeli nie są dziedzicznie obciążone błędami fizycznemi lub psychicznemi. Dziedziczność oto dział, któremu wystawa poświęca także swe ubikacye, dając mianowicie dowody na obciążenie umysłowe dzieci alkoholików.

Osobny pawilon poświęcony jest wykazaniu zdrowej żywności.

Znajdujemy w tym pawilonie zdrowe wiktuały różnego gatunku obok rzekomo zdrowych wódek, to znaczy takich wódek, które najmniej może szkodzą.

Zwiedzający poznaje fabrykacyę czekolady, która odbywa się za pomocą kilku maszyn, rozrabiających masę czekoladową i formujących ją wreszcie plastycznie.

Za kilka fenygów nabywa przechodzień mleko skwaśniałe yogurt, napój narodowy Bułgarów, dający krajowcom długie życie. Wiadomem bowiem jest, że Bułgarzy cieszą się długowiecznością, i że w Bułgaryi jest starców 100 letnich stosunkowo więcej niż w innych krajach. Z pomocą środku podobnego do yogurtu pracuje prof. Metszników w Paryżu nad przedłużeniem życia ludzkiego; dotąd coprawda niema wiele powodzenia, lecz każda nauka w zaraniu jest niedoskonałą. Często nowość naukowa przechodzi drogę ciernistą, pozostawia za sobą ofiary w krwi, w łzach i w chybionej nadziei, dopiero później udoskonalona służy ludziom pożytecznie, a wtedy przychodzi zrozumienie wielkości tego, który rzucił pierwsze ziarna.

Na wystawie mają różne państwa osobne pawilony, mniej lub więcej bogate. Anglia, Francya, Włochy, Japonia, Chiny, Rosya i t. d. są reprezentowane. Podpada mianowicie pawilon Japonii bogactwem urządzeń hygieniczno-humanitarnych, a ponieważ Japonia jest prawie na wszystkich wystawach reprezentowaną mimo wielkiej odległości, można robić wnioski co do jej energii i dzielności.

W pawilonie Rosya jest także Warszawa reprezentowaną przez różne urządzenia hygieny miejskiej, a mianowicie urządzenia do palenia śmieci. Maszyny do palenia śmieci są dotąd tylko w Warszawie w użyciu i dlatego zasługują na specyalne uwzględnienie. Dodać jeszcze muszę, że opis hygieny Warszawy wydrukowany jest w 4-ch językach, t. j. po polsku, po rosyjsku, po niemiecku i po francusku.

Obszerny dziedziniec, okolony trybunami, służy do igrzysk różnych sportów, które za małą opłatą oglądać można. Dalej spostrzegamy wieś abisyńską ze stoma przeszło tubylcami. Hałasem piekielnym starają się udowodnić swą dzikość. Warto zwiedzić tę wioskę, gdyż można w niej podziwiać harmonijne kształty ciała, niepopsute kulturą. Widz ujrzy ciała wysmukłe i dobrze zbudowane, nogi proste i foremne, stopę symetryczną i niepokośławioną ciasnem obuwiem, a piersi harmonijne bez anomalij, pochodzących od ściskania modnemi pancerzami.

Trudno pominąć zwiedzającemu wystawę liczne restauracye, winiarnie i kawiarnie, wreszcie hipodrom, huśtawki najróżniejszego rodzaju, schody ruchome, które wszystkie jako nowość bawić mogą.

Wycieczka na wystawę tembardziej jest ciekawą, ponieważ miasto Drezno posiada bardzo wiele prawdziwych dzieł sztuki.

Przepiękna galerya obrazów z niezrównaną Madonną Sykstyńską Rafaela pozostawia w każdym niezatarte ślady głębokiego przejęcia. Ludzie prości, niemający żadnego zrozumienia sztuki z powodu braku specyalnego wykształcenia, wpatrują się nieraz kilka godzin w twarz anielską Madonny, w której odźwierciadlają się: dziewiczość, piękność, sprawiedliwość, męstwo, słodycz, mądrość i Boskość. Na-

stępnie wrażenie nie małe robią na zwiedzającym wystawę dzieła architektoniczne, jak pałac królewski, opera, terasa Brülowska i „Zwinger," który mieści galeryę obrazów.

Zwiedzającemu nasuwa się bezwiednie myśl, czemu dzisiaj nie budują tak pięknych gmachów?

Oczywiście dziwnym jest objawem, że w czasie, w którym postąpiły wszelkie nauki, w którym tryb życia zmieniły zupełnie wynalazki nowe, że w tym samym czasie sztuka nie postąpiła ani krok naprzód.

Ideałem teraźniejszego czasu jest naśladownictwo dzieł sztuki z czasów greckich lub z czasów renesansu, które do dziś dnia uważane są za niedościgłe. — Wszelkie próby wyzwolenia schodzą się na ślizkie ścieżki secesyi i rodzą dekadentyzm; lub częstują nas takiemi dziwolągami sztuki, jak różne poczty po wielkich miastach, pałace królewskie, ratusze nowe i t. d.

Widokiem takich „stodół" nikt serca swego nie wzbogaci i nie zazna tego natchnienia, które dają dzieła architektoniczne wieków ubiegłych.

Drezno, 29. V. 1911 r.

Tadeusz Sobeski.

Mojej przyjaciółce.

Kobieto piękna, młoda — pamiętaj to sobie,
Że życie nasze jedną, mozolną po różą,
W niej smutek, to znów radość słania się ku tobie,
A czyny twoje własne o twem szczęściu wróżą.
— Życie cenną mozajką, zbiorem jest kamyków,
Wiele więc sił potrzeba, do ich ułożenia,
Ażeby módz wykrzesać choć kilka płomyków,
Któreby przyświecały nam w chwilach zwątpienia.
A jeśliś w miłość jedną zaklęła swe życie,
To ona kwiatem, pączkiem i owocem będzie
I twym laurem zielonym na pragnień twych [szczycie
Choćbyś chwilowo stała w męczenników rzędzie.
Ufaj twojemu sercu! — bo z niego moc płynie,
A choć cierpisz chwilami strasznie i bez miary,
Nie daj się powodować zazdrości gadzinie,
Bo ta wiarę podkopie żądna swej ofiary,
Jad w sercu pozostawi, bólu nie ukoi,
I miłość twą zniweczy, co gwiazdą jaśnieje,
A ona ma być stróżem, co przy tobie stoi,
By się twe najpiękniejsze ziściły nadzieje.
Tobie na świat dopiero jutrzenko młodości!
Łzy — pozostaw żałobie, którą grób ocienia,
Tam już miłość bezsilna, nie wskrzesi przeszłości,
To zapisana karta wśród dziejów istnienia;
Ceń życie, bo tak krótkie — kochaj — chciej [mi wierzyć,
Na co przed własnem sercem stawiać czoło dumnie?
Ty w uniesień zapale rozkosz możesz przeżyć,
A zamęt ów złowrogi zamknąłby cię w trumnie.
Tobie ufność i wiara powinna słać róże,
Zdeptaj pozorów kłamstwo, co ci szczęście łamie,
Jedną tylko miłością zażegna się burze,
Pod tym znakiem zwyciężysz, on pokoju znamie.

Marja Paruszewska.

Nasze ryciny.

Otwarcie grobu Kazimierza Wielkiego.

(Patrz rycinę albumową.)

Dziwne a niedościgłe są wyroki Boże. W 1869 roku przypadała — czytamy w „Dziejach Narodu polskiego dla ludu i młodzieży," opracowanych przez Józefa Chociszewskiego — trzechsetletnia rocznica połączenia Polski i Litwy. Oto za szczególnem zrządzeniem Opatrzności poprzednio odkryto w Krakowie zwłoki Kazimierza W., który przez związek ślubny z Aldoną przyczynił się wielce do bliższego Polski z Litwą złączenia. Stało się to zaś następującym sposobem. Pomnik Kazimierza W. zaczął się z czasem chylić ku upadkowi. Gorliwi rodacy, a mianowicie Łepkowski, profesor z Krakowa, zajęli się odnowieniem pomnika. Przy rozbieraniu tegoż odkryto grób, a w nim śmiertelne szczątki ostatniego z Piastów. Był to widok rzewny, poważny i groźny, gdyż z jednej strony te kości wielkiego króla, rozrzucone w nieładzie, przypominały znikomość ludzką, a z drugiej strony berło, korona i inne pamiątki przypominały żywo pięciowiekową świetną naszą przeszłość. Złożono na prędce zwłoki ostatniego z Piastów w trumienkę, a 8 lipca 1869 r. pochowano uroczyście.

Cała Polska na wieść o odkryciu kości Kazimierza W. zadrgnęła, a jakieś przeczucie szczęśliwszej przyszłości ożywiło serca nasze.

Liczne odprawiano nabożeństwa za spokój duszy wielkiego króla, a obfite dawano składki na sprawienie trumny. Lud wiejski mianowicie okazał wymowne dowody przywiązania i wdzięczności dla wielkiego obrońcy kmieci. Rzewny to był widok, gdy wieśniaczka z pod Krakowa uwieńczyła kwiatami trumnę, kryjącą szczątki Kazimierza W. To też nie darmo brzmi piosnka w okolicach Krakowa: „Prędzej Wisła z Sandomierza — Odwiedzi Bielany, — Niźli imię Kazimierza — zapomną włościany".

Wdzięczność wielką jest cnotą, a dla tych, co dla Ojczyzny pracowali i pracują, choć i po wiekach dalekich, słusznie godzi się wdzięczność zachować.

W grobie znaleziono różne pamiątki po Kazimierzu W., mianowicie koronę, berło, jabłko świata, pierścionek, ośm guzików i ostrogi. Już rdza wieków okryła te sędziwe pamiątki, a jednak są one drogie wszystkim polskim sercom, jako pamiątki wielkiego naszego króla. Złożono je napowrót w dawnym grobie.

„Magis," ul ramowy.

Teoretyczne dociekania i praktyczne doświadczenia ojca pszczelnictwa nowoczesnego Dzierżona, spowodowały zupełny przewrot w hodowli pszczół i naturalnej produkcyi coraz bardziej pożądanego miodu. Naśladowcy i wdzięczni uczniowie Dzierżona bez zastrzeżeń przejęli jego system uli ramowych, których przewaga nad koszkami uznaną jest dzisiaj przez wszystkich postępowych pszczelarzy.

Ul ramowy porównać można do książki, w którym plastrami węzy i miodu przewracać można jak kartami, aby z nich dowiedzieć się każdej chwili co potrzeba i badać tajemnice pnia, a co w koszce lub barci dla fachowca często niedostępne. O wiele łatwiej także w ulach ramowych zwalczać nieprzyjaciół pszczół, kontrolować ich pracę, zapobiegać wewnętrznym klęskom, łączyć i przenosić roje, przestawiać pnie i przezimować pasiekę bez strat i zawodów.

Korzyści te skłoniły licznych zawodowców do ulepszania i doskonalenia uli, których rozmaite posiadamy systemy. Wszystkie wynalazki na tem polu jednoczy w sobie i układa harmonijnie **ul ramowy „Magis"** firmy „Hestia" B. Śniegockiego w Poznaniu, który nadto na podstawie 16 letnich doświadczeń uznanych pszczelarzy i miłośników pp. Trzemżalskiego i Juszkiewicza liczne nowe wykazuje udogodnienia.

Dzięki niestrudzonej ich pracy ul „Magis" przedstawia dzisiaj ideał nowoczesnego pnia, którego przymioty zjednają mu niewątpliwie szeroki rozgłos i uznanie kół interesowanych.

Już zewnętrznie podpada na pierwszy rzut oka w ulu **„Magis"** trwałość materyału, doskonałość wykonania i forma całokształtu starannie obmyślana, a w rozmiarach swych przysposobiona na przyjęcie silnych, żywotnych rojów.

Podwójne, ściśle zespojone ściany, wypełnione trocinami, zabezpieczają pień od zimna i wilgoci, a połączone u podstawy nogi umożliwiają łatwe przenoszenie ula z miejsca na miejsce.

Wewnątrz rozpada się ul „Magis" na trzy części. Podbudówka w formie przedsionka przebiegająca całą długość uwzględnia zmiany klimatyczne i nagłe wpływy atmosfery. Powietrze zimne i wilgotne ogrzewa się w oddzielonej poziomą ścianą od całości przestrzeni, i bocznymi otworami powoli wnika do matecznika i magazynu, umożliwiając stałą i łagodną wentylacyę ula. Dla pszczół służy przedsionek ten w razie upałów i duszności jako chłodnik, w którym bez utraty czasu i sił mogą się dowolnie orzeźwiać i znów dalszą prowadzić pracę. Jest

on oprócz tego dogodnem i przystępnem miejscem dla wstawiania w ciągu zimy i wiosny naczynia z paszą i napojem dla wyczerpanych głodem i zimnem pracownic. Wogóle uważać należy urządzenie przedsionka jako szczęśliwe rozwiązanie kwestyi regulatora przypływu i odpływu powietrza.

Wznosząca się nad nim dwupiętrowa budowla podzielona jest na dwie równe części. Obie połowy wypełniają równe co do rozmiarów ramki o trzech czwartych normalnej miary, przez co dana jest możność przesuwania ich i przenoszenia bez trudu z magazynu do matecznika i odwrotnie. Tem samem upada potrzeba zaopatrywania się w ramki i węzy odmiennych rozmiarów, co znacznie ułatwia i upraszcza pracę pasiecznika. Obydwa piętra ubezpieczone są ruchomymi sufitami, a oprócz tego urządzenie górne daje sposobność do wyjęcia złączenia poprzecznych ścian pod dachem, co ułatwia stałą kontrolę i szybkie zmiany wewnątrz ula.

Nad ulem „Magis“ wznosi się płaski, ruchomy dach na zawiasach, który w miarę potrzeby można wznieść na podpórkach lub całkowicie uchylić. Wówczas po usunięciu górnego sufitu i dalszych niższych przegród otwarty jest widok na całe wnętrze ula, co umożliwia równocześnie wszelkie zestawienia i ruchy w systemie ram i węzy.

Dach zabezpiecza zawias na wewnątrz tak, że po zamknięciu na klucz frontowych i tylnych drzwi wszelki dostęp niepowołanych do ula jest wykluczony. Dla pszczół urządzone są trzy wyloty; dwa prowadzą do matecznika, z których górny zabezpiecza plastry od pleśni i ma prócz dopływu powietrza na względzie ułatwienie dostępu dla pszczół robotniczych. Wylot magazynu, umieszczony o pięć centymetrów poniżej górnego brzegu ram podobnym służy celom.

Czystość, przestronność i wygoda głównemi są cechami ula „Magis,“ a jednolitość jego ram ułatwia urządzenie wewnętrzne i umożliwia szybkość pracy zarówno dla pszczół jak i dla pasiecznika. Zalety te przy nizkiej cenie i materyał wyborowy dają gwarancyę szerokiego popytu i wielkiej wziętości uli ramowych „Magis,“ zwłaszcza, że przeszły już próbę ogniową i wynalazcom dały pełne zadowolenie przez idealne połączenie prostoty, trwałości i doskonałego wyzyskania wszelkich doświadczeń na polu współczesnego pszczelnictwa. Dla tego zasługują też na baczną uwagę kół interesowanych, a ruchliwej i pomysłowej firmie zapewnić powinny życzliwość wszystkich postępowych pszczelarzy.

Ule „Magis“ dostarcza firma „Hestia“ B. Śniegocki w Poznaniu z kompletnem urządzeniem, zawiaskami, kratą ogrodową, zameczkiem itd. po 21,00 mk.

KRONIKA.

— **Najserdeczniejsze zielonoświąteczne życzenia zasyłamy Szanownym Współpracownikom, Czytelnikom, Przyjaciołom i Zwolennikom naszego pisma.**

—**Wyrzućmy z domów naszych polskich wszelkie szkodzące nam blaty niemieckie. Niech każdy dba o to, by w domu polskim znajdowało się tylko pismo polskie, bo tylko polskie pismo jest prawdziwym przyjacielem domu polskiego.**

— **Tylko stałą, wytrwałą agitacyą można rozpowszechnić pismo, dla tego prosimy Szanownych Czytelników naszych, aby przy każdej sposobności zachęcali sąsiadów i znajomych do zapisywania sobie „Pracy.“ „Praca“ jest najodpowiedniejszem i najtańszem dla rodzin wszelkich stanów illustrowanem pismem tygodniowem.**

— **Inowrocław.** Z okazyi 25-cio letniej rocznicy założenia tutejszego Tow. Śpiewu „Moniuszko“ odbędzie się dnia 4-go i 5-go czerwca (Zielone Świątki) zjazd śpiewacki w mieście naszem. W zjeździe bierze udział 15 kół i około 500 śpiewaków i śpiewaczek.

Program uroczystości, która się odbędzie w Domu kąpielowym dnia 4-go b. m. bardzo obfity i nadzwyczaj urozmaicony. Początek o godzinie 4-tej po południu; o godzinie 9-tej rozdanie nagród. Wieczorem od godziny 10-tej tańce na sali hotelu Basta.

W drugie święto Zielonych Świątek odbędzie się wspólna wycieczka do Kruświcy. Parowiec wyrusza na Gopło o godzinie 5-tej po południu.

Na uroczystość tę jubileuszową zaprasza wszystkich życzliwych i przyjaciół śpiewu jak najserdeczniej

Zarząd Tow. Śpiewu „Moniuszko w Inowrocławiu. — Zarząd okręgu IX zjednoczonych Kół śpiewackich.

— **Środa.** Tutejsze Koło śpiewackie „Lutnia“ urządza w ogrodzie p. Banasińskiego koncert wokalno-instrumentalny w pierwsze święto Zielonych Świątek, dnia 4-go czerwca. Wymarsz z lokalu „Koła“ o godzinie 1 i pół po południu z muzyką. Program obfity i urozmaicony. Wieczorem zabawa z tańcami na sali. O liczny udział uprasza

Zarząd.

Nekrologia.

† **Ś. p. Seweryn Jastrzębiec Kuczkowski**, dnia 26-go maja w Poznaniu. — **Ś. p. Edward Wesołowski**, dnia 24-go maja w Poznaniu, przeżywszy lat 76. — **Ś. p. Bronisława Idaszewska**, dnia 22-go maja w Pyszącej pod Śremem. Pogrzeb odbył się w Śremie. — **Ś. p. Julian Sobierajski**, dnia 25-go maja w Inowrocławiu w 15-ym roku życia. — **Ś. p. Paweł Noak**, dnia 26-go maja w Toruniu w 27. roku życia. — **Ś. p. z Benedykcińskich Anastazya Haliska**, dnia 26-go maja w Turzanach, przeżywszy lat 58. Pogrzeb odbył się w Inowrocławiu. — **Ś. p. Józef Lewandowicz**, dnia 26-go maja w Inowrocławiu, przeżywszy lat 41. — **Ś. p. Albertyna Tyszler**, dnia 28-go bm. w Poznaniu. — **Ś. p. z Meissnerów Franciszka Sell**, dnia 28-go bm. w Poznaniu, przeżywszy lat 55. — **Ś. p. Prakseda Klemczyńska**, dnia 28-go maja w Berlinie w 52-im roku życia. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Na listy anonimowe nie odpowiadamy.**

— **Panu C. W. 27 w Horneburgu.** — Patrz powyższą notatkę.

— **Panu Franciszkowi Kubiakowi w Neuhof (Meklenburgia).** — 1) Środek taki nabyć Szan. Pan może w każdej aptece lub też w drogeryi; 2) Katalogów życzonych nie posiadamy. 3) Gazet wychodzi bardzo wiele, więc bez podania tytułu wysłać nie możemy.

— **Panu Władysławowi P. w P. (Galicya).** — 1) Artykuł nasz wiadomy nie dotyczył wcale artykułu Szan. Pana, 2) Za życzenia tak serdeczne od całej młodzieży zakładowej staropolskie: „Bóg zapłać!“

— **Panu M. W. w Oberhausen.** — Uznajemy dobre chęci Szan. Pana, dziękujemy też za pamięć, ale ze względu, że wierszyk nadesłany nie dotyczy ogółu społeczeństwa, lecz omawia wdzięczność Szan. Pana jako syna dla matki, więc nie zamieścimy. Wiersze takie stosowne są do zamieszczenia w albumie rodzinnem.

— **Zarządowi Tow. Przemysłowego w Krotoszynie.** — Notatkę o zeszłoniedzielnej uroczystości 40-ej rocznicy otrzymaliśmy za późno już po wydrukowaniu zeszytu „Pracy“ na dzień 28-go maja, więc zamieścić nie mogliśmy.

— **Pani Maryi T. w Poznaniu.** — Adresu życzonego wskazać nie możemy, zresztą środki takie, reklamowane po gazetach przeważnie nie skutkują, owszem szkodzą, więc radzimy udać się z zaufaniem do lekarza.

— **Panu Wal. G. w Kirchlinde.** — 1) Zapisz sobie Szan. Pan od 1-go lipca „Pracę“ na tej poczcie, w której obrębie Pan będzie mieszkał. 2) Pokwitowania były zamieszczone w „Dzienniku Poznańskim“ i w „Kuryerze Poznańskim“. Poza tem Komitet innych pokwitowań nie ogłaszał. Kwit pocztowy, który Szan. Pan posiada, wystarczy zupełnie.

Najbardziej upragnionym stanem ludzkości powinien być pozytywizm nauki i idealizm życia.

Al. Świętochowski.

Reklamy.

— Zwracamy uwagę na ogłoszenie firmy **W. Ziętek**, skład przedmiotów żelaznych, szkła, porcelany i mebli ogrodowych w Poznaniu, przy ul. Wrocławskiej 37. Firma istnieje już lat ośm.

— **Ważne dla kupców i przemysłowców.** Na Górnym Śląsku żyje blizko **dwumilionowa** ludność polska, która zapotrzebowanie swe pokrywać musi wyrobami niemieckiemi, mając mało przemysłu i handlu własnego. Życzeniem każdego obrotnego kupca będzie **zdobyć sobie to szerokie pole zbytu** dla towarów jego i zaprowadzić **na Górn. Śląsku wyroby swojskie**, które tutaj jeszcze bardzo mało są znane. **Najlepszym** i najtańszym sposobem do pozyskania odbiorców jest reklama w gazecie **„Katolik“**, wychodzącej w Bytomiu od 43-ech lat i będącej **najbardziej rozpowszechnionym** i najpoczytniejszym organem ludu górnośląskiego. Liczba abonentów **„Katolika“ przewyższa** wszystkie inne gazety na Górn. Śląsku razem wzięte. „Katolika“ przeto polecić można do **najskuteczniejszego ogłaszania** wszystkim kupcom i przemysłowcom polskim.

Prosimy odciąć i podać znajomym do prenumeraty!

Unterzeichneter abonniert hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für den Monat Juni die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)
für 0,50 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 0,50 M. erhalten zu haben, bescheinigt

........................, den .... 1911.

Kaiserl. Post........................

ZIELONE ŚWIĘTA.



Cała przyroda i piersi ludzkie przepełnione jakąś lekkością. Gdzie spojrzeć, wszędzie zieleń i radość, wszędzie wesołość i szczęście. Radosne chóry śpiewnych ptasząt, drzewa obsypane kwieciem, jakby śniegiem, zielona ruń, pokrywająca nasze niwy, oznaczają, że najprzyjemniejsza pora roku do nas zawitała. Zboża zielone, pokrywające czarne zagony, wzbudzają w rolniku nadzieję, że praca rąk jego nie zawiedzie, że ta matka ziemia wyda mu plony bogate.

Wiosna, wiosna! To czarowne słowo przejmuje piersi starca wdzięcznością dla Stwórcy za tę wiosnę, której mu zezwolił doczekać, i ufnością, że i ta nie będzie ostatnią.

Wiosna, wiosna! To słowo drzeniem przejmuje niejedną pierś młodą, nowe w niej budząc uczucia, pragnienia, myśli:

Gdy zielenić gaj się zacznie,
W wiosenną pogodę,
Poczynają się nieznacznie
Budzić serca młode.

Na taką to porę wiosenną, słoneczną, jasną, przypadają „Zielone Świątki“ i dlatego, że łączy się z niemi pojęcie wiosny, słońca, nieba, zieleni, młodego życia, świergotu ptasząt, wszyscy się na nie cieszymy. Cieszy się młody i stary, wieśniak i mieszczanin, każdy, co Boga ma w sercu.

Lecz nie w tem tylko leży znaczenie „Zielonych Świątek.“ Te wesołe dni są poświęcone czci Ducha świętego, tego Ducha, którego Zbawiciel dać nam obiecał jako „Pocieszyciela Ducha Prawdy.“

Przyjście tego „Pocieszyciela“ i zstąpienie jego na Apostołów, rozpamiętywać więc winniśmy w tych dniach wesela, by i na nas On zstąpił jako „Ducha Prawdy,“ prawdą przejął serca nasze i przyniósł nam swoje dary:

Dar mądrości i rozumu, abyśmy po krętych drogach tego życia wiedzieli, kędy iść, by prawą drogą dojść do prawdy i dobra, dojść prosto do Boga.

Dar rady, abyśmy nie tylko sami szli tą drogą, ale i bliźnich swych zawsze zdrową wsparli radą i wszyscy wspólnie każdej dobrej służyli sprawie. By zawiść wzajemna znikła z pomiędzy nas, a zgoda i jedność zapanowała na całej ziemicy polskiej, bośmy dzieci jednej uciśnionej Ojczyzny.

Dar męstwa i umiejętności, abyśmy mężnie i umiejętnie bronili i strzegli naszych wielkich dóbr moralnych i narodowych, odrzucając precz wszelkie zgubne hasła, głoszące oziębłość dla Boga i Ojczyzny.

Dar pobożności — nie tej, która w pacierzu woła: „Panie, Panie!“, ale tej, zapomocą której życie całe można wieść po Bożemu i z życia tego jeden wielki złożyć pacierz.

Dar bojaźni Bożej, która jest początkiem mądrości. Mądrość, która od ludzi pochodzi, nie jest mądrością, gdyż tylko Bóg jeden jest początkiem mądrości.

Jeżeli ten „Pocieszyciel, Duch Prawdy,“ darami swemi napełni serca nasze, serca całego narodu, możemy zbrojni w Jego mądrość, męstwo i bojaźń Bożą, staczać zwycięską walkę z wszelkimi nieprzyjaciółmi Boga i Ojczyzny, wrogami godzącymi w nasz byt narodowy i moralny. Zbrojni w Jego mądrość i męstwo i bojaźń Bożą, możemy się stać, my dzisiaj „włóczęgi wśród narodów, wzgardzeni i ubodzy,“ znowu, jak dawniej, narodem wielkim i potężnym, co władał od morza do morza, jeżeli twardo i niewzruszenie stać będziemy na naszym posterunku i nie wyrzekniemy się praw, jakie mamy od Boga, nie przestaniemy żądać, aby uszanowano te nasze prawa. A przedewszystkiem do walki o najdroższy nasz skarb, nasz język, pójdziemy w imię Ducha św. z prośbą, aby nas tak samo jak ongi Apostołów — „obficie oświecił, nieprzełamaną odwagą napełnił oraz taką miłością, iż wszyscy jedno serce, jedną duszę mieć się zdawali.“

Pod znakiem Ducha św. idźmy w bój za nasz najdroższy i najpiękniejszy język ojczysty!

Polny kwiat się płoni, jużci go wstyd ima,
Że błyszczy purpurą — a zapachu niema.
O! boć darmo, samym blaskiem nic się nie przymili,
Stokroć milsza jest pszenica, gdy kłos ciężki schyli.

Edmund Wasilewski.

Na Zesłanie Ducha św.

Jak z kadzielnicy, z kwiecistych łąk
Ku niebu woni wznosi się czar,
Świąteczna cisza panuje w krąg,
A złote słońce śle blasków żar.
Z pól, łąk i gajów łączą się wonie,
Mieszanym wznoszą się aromatem,
A z za błękitów Duch święty wionie
Łaską swą świecąc nad całym światem.
O serca, serca otwórzcie się,
Przyjmijcie nowy zadatek łask,
Może nadejdą wskrzeszenia dnie,
Może rozbłyśnie świetlany brzask.
Cudnie dokoła, bujnie, zielono,
Płynie woń słodka w lekkim podmuchu,
O, Duchu święty zstąp w nasze łono,
Oświeć i uświęć, wznieś nas na duchu!
O Duchu święty, na trud i znój
Dużo nam trzeba hartu i sił,
Wlej w nasze serca łask swoich zdrój,
Aby nas życia nie zbrukał pył!

Paula Wężyk.

Uroczystości zielonoświąteczne.

W niektórych okolicach Polski obchodzi lud w Zielone Święta uroczystość z pogańskich wieków, zwaną „turzyce.“ Nazwa ta pochodzi od zwyczaju obchodzenia z turem (żubrem), który niegdyś napełniał puszcze nasze.

Około Pińska ubierają dziewczynę w suknię, plecioną z samych gałązek brzozowych, na kształt płaszcza, a dziewczęta jej towarzyszą przy śpiewie.

Na Białej Rusi zwą cały tydzień „zielonym.“

Lud wiejski na Ukrainie utrzymuje, że w noc poprzedzającą Zielone Świątki, zaczynają leśne boginie, Rusałki, swe zabawy i tańce, a biada człowiekowi, gdy wpadnie w ich ręce. Zaczepione długiemi, zielonemi warkoczami o gęste konary dębu lub brzozy, huśtają się swobodnie, strasząc podróżnych, zapuszczających się w las tej nocy. Z drzew skaczą na konia, albo wóz przejeżdżającego i z dzikim śmiechem dopóty go łaskoczą, dopóki nie wyzionie ducha.

Dzieci wiejskie, aby uniknąć w tę noc łaskotania Rusałek, ścielą sobie piołun pod głowę. Zapach, jaki wydaje ta roślina i gorycz wypędzają je z chaty, a przez to czynią nieszkodliwemi.

A niechby się zdarzyło, aby młody jaki pastuch pasł wtedy swe bydełko w lesie! Rusałki przybierają zaraz postać pięknych, wiejskich dziewcząt i wabią pastuszków do siebie. Biada temu, kto ulegnie pokusie i odstąpi ogniska! Rusałki zwabiają go w głąb boru, gdzie obsypują go pieszczotami i jedne z nich poczynają łaskotać i łaskoczą go dopóty, aż biedak skona. Inne natomiast w tym czasie, aby przytłumić jego śmiech rozpaczliwy, poczynają śpiewać i pląsać. Śpiew ich, według tychże podań, jest tak cudny i uroczy, że się serce w człowieku rozpływa.

Rusałki te są tak podobne do wiejskich dziewic, że tylko wtedy je odróżnić można, gdy się kto pilnie wpatrzy, gdyż mają one włosy zielone.

Oczywiście myliłby się ten, ktoby sądził, że te opowiadania są prawdziwe. Są to tylko gadki nadzwyczaj poetyczne i miłe, ale ani nawet nie prawdopodobne. Każde jednakże takie podanie tyle w sobie jakiegoś dziwnego czaru mieści, że choć mu człowiek nie wierzy, ale z przyjemnością je sobie przypomina i z drugimi się niem dzieli.

Wogóle w Zielonych Świątkach tkwi wiele pozostałości z dawnych uroczystości wiosennych.

U Serbów pogan obchodzono święto majowe, strojąc drzewo święcone, paląc ognie i składając ofiary. U nas podobne święto było przywiązane do dnia 24-go czerwca; opóźnienie to łatwo tłómaczyć różnicą klimatu, a więc późniejszą wiosną.

W Zielone Świątki do dziś włościanie stroją zielenią chaty swoje, wysypują tatarakiem izbę i podwórko, zdobią wnętrze wiejskiego kościołka, a w wigilię Zielonych Świątek, gdy dziewczęta i chłopcy zbierają tatarak, rozlegają się wesołe śpiewki i śmiechy po łąkach i oczeretach, a spłoszony skowronek, zawisły w powietrzu, wtóruje swym szczebiotem piosnce brodzącej za tatarakiem dziewojki.

Od wiejskiej zagrody słychać ryk bydła. Z wrot podwórka wychodzi, węsząc zapach młodej trawy, stado. Nietylko młodzież, lecz i starsze, a zwykle poważnie kroczące graniochy i krasule dziś w wesołych podskokach opuszczają zagrodę. Pasterz przy pomocy służby folwarcznej zaledwie zdoła przepędzić niesforne bydełko na właściwe pastwisko, tak zieloność młodych ozimin je nęci. We wrotach, gospodyni w otoczeniu bardziej zaufanych dziewcząt kropi wodą święconą pierwszy raz na paszę wypędzaną trzodę. Panuje ogólna radość, bo oto skończył się ciężki przednówek dla gospodarzy, a stado radośnie wita ulubioną strawę.

Północna strona nieba świeci blaskiem na krótko po zachodzie ukrytego pod horyzont słońca. Zaledwie słowik skończył swe wieczorne śpiewanie i żaby umilkły po bagienkach, już wczesny ranek budzi śpiewaków do rannej modlitwy, i niebawem tysiące głosów złożą się w całej przyrodzie na jeden wielki śpiew: „Kiedy ranne wstają zorze...“

Dział kobiecy.

Historya wachlarza.

Wachlarz, owa niebezpieczna broń w rękach pięknej kobiety, bardzo dawną ma przeszłość. Zmieniał on często charakter i postać: raz stawał się przedmiotem użytecznym, raz zbytkownym — raz używali go mężczyźni, raz kobiety. O ile teraz służy u nas wyłącznie kobietom jako zabawka, o tyle ważnym był przedmiotem przy wszelkich prozaicznych zajęciach u ludzi w strefach gorących, i to w najdawniejszych czasach. Zdarzyło się, że do pierwszego wogóle okrętu, który dopłynął do wysp Nikobarów, dojechało w małem czółnie trzech dzikich mieszkańców wyspy w strojach więcej niż prymitywnych: ubranie ich składało się z naszyjnika z ludzkich zębów i liści palmowych, któremi wywijali z wielką zręcznością. Liście te połączone łodygami trawy i ozdobione różnokolorowemi roślinkami, tworzyły ładne i oryginalne wachlarze, zbyt delikatne w rękach tych ludożerców.

Na Wschodzie był wachlarz oznaką wysokiej godności, a jako upominek nadawał obdarzonemu rozmaite przywileje i łaski. W Egipcie wolno było tylko książętom nosić pedum, albo flabellum, t. j. wachlarz, złożony z jednego tylko, długiego, strusiego pióra, tytuł zaś „ministra, noszącego wachlarz królewski,“ był jednym z najwyższych. Staroegipski wachlarz kobiecy znaleziono w grobowcu królowej Aah-Hotep, żyjącej w r. 1703 przed Chrystusem, a więc po upływie 3500 lat! Rękojeść i część środkowa są z pozłacanego drzewa, w półkolu

zaś, rozchodzącem się od środka, widać jeszcze otworki, w których umieszczone były prawdopodobnie strusie pióra. Na starych egipskich obrazach i płaskorzeźbach widać kobiety z wachlarzami; używały ich zapewne tak dla chłodzenia się jak i dla odpędzania natrętnych owadów.

U Persów był także wachlarz nieodłącznym od królewskiego przepychu. Rozniecali nim nawet ogień, pod karą śmierci bowiem nie wolno im było rozdmuchiwać ognia ustami lub podsycać płomień nieczystemi przedmiotami. Tym sposobem dostał się wachlarz jako przedmiot religijny w ręce kapłanów i zajął miejsce w świątyni.

W Indyach używano także wachlarzy na dworach książęcych i żadna uroczystość nie odbyła się bez wspaniałych i kosztownych wachlarzy, które noszono przed panującym. Nigdzie też nie otaczano wachlarza taką aureolą poezyi, jak właśnie w Indyach, w kraju czarów i cudów!

W rękach pięknych Greczynek zamieniły się zwolna liście akacyi, platanu lub poświęconego Wenerze lotosu w sztuczne i większe liście, które uważać można za wachlarze. W piątem stuleciu używały Greczynki już zupełnie wyraźnych wachlarzy z piór, i to pawich — ptaki te bowiem poświęcone bogini Junonie, miały przedstawiać bogactwo, wielkość i dumę. Pomimo to jednak był wachlarz przedmiotem poświęconym bogini Wenerze. Na licznych obrazach widać kobiety, składające Wenerze wachlarze na ofiarę. Z Grecyi przeszedł wachlarz do Rzymu i stał się tam wkrótce tak popularnym, że żadna dostojna Rzymianka nie byłaby się pokazała bez wachlarza ani w teatrze ani na ulicy. I tu panowały przeważnie pawie pióra, chociaż niektóre panie używały wachlarzy złożonych z małych tabliczek, pomalowanych różnemi kolorami. Pawie pióra były w Rzymie bardzo drogie, trzeba bowiem było sprowadzać pawie z Samos, co z wielkim bywało połączone kosztem. Wachlarze były wogóle tak wówczas drogie, że niejeden małżonek przeklinał pewnie w duszy nowe damskie mody.

I teraz nie dzieje się inaczej.

Ale wówczas było jednak gorzej — dziś panie same trzymają wachlarze, podczas kiedy żadna Rzymianka nie byłaby tego uczyniła. Gdziekolwiek bądź szła — towarzyszył jej niewolnik lub niewolnica i osłaniali ją piórzystym wachlarzem.

W czasach średniowiecznych używano znów wachlarza w kościołach



Zesłanie Ducha św. na Apostołów.

— lecz teraz już w chrześcijańskich. Przez długie lata pokazywano kosztowny, okrągły wachlarz, ofiarowany przez królową Teodolindę, żonę króla longobardzkiego Autaricha, katedrze w Monza. Dla odpędzania much od Hostyi św. poruszał zawsze jeden z dyakonów wspaniały wachlarz, mający zwykle kształt sześcioskrzydłowego Serafina. W skarbcach starych kościołów katolickich we Włoszech i Hiszpanii znajdują się do dziś jeszcze podobne wachlarze — z pergaminu i piór, kości słoniowej i perłowej macicy, wykładane drogiemi kamieniami. W trzynastem stuleciu trzymano je nad głową kapłana, odprawiającego mszę św., i dziś, gdy Ojca świętego obnoszą na tronie podczas świąt uroczystych w kościele, niesie dwóch szwajcarów przed nim kosztowne pióropusze z pawich piór.

Jest to jedyne, co pozostało z świetności średniowiecznego wachlarza.

W Francyi wolno było wówczas tylko żonom wielkich panów używać wachlarzy, które zresztą były tak drogie, że tylko bardzo bogate panie mogły sobie na zbytek ten pozwolić. Wachlarze składały się tylko z złota, pereł i rozmaitych drogich kamieni.

Podczas kiedy aż do piętnastego stulecia miały wachlarze formę okrągłą, zaczęły się na początku szesnastego wieku pojawiać w Hiszpanii i Portugalii wachlarze układane w fałdy. Przywieziono je także z Chin; forma ich została, z małemi bardzo zmianami, aż do dziś ta sama. Bogate panie kazały w środku umieszczać maleńkie lusterka, otoczone brylantami, a najpiękniejszy wachlarz taki posiadała królowa Eleonora. Francuskie arystokratki tak polubiły wachlarze, że nawet w zimie nie rozstawały się z tą zabawką. Latem zasłaniały się niemi przed gorącemi promieniami słońca — zimą bawiły się niemi, siedząc przy kominku i flirtując z pięknymi kawalerami.

Pod tym względem nie wiele się zmieniło!

Włoszki podzielały zupełnie to upodobanie francuskich dam do wachlarzy, lecz wolały je mieć z brokatu i jedwabiu. Mianowicie w Neapolu i Wenecyi, Padwie i Rzymie rozwijały

panie szalony zbytek w wachlarzach — sławny zaś Tycyan uwiecznił wachlarz pędzlem swoim—malując narzeczoną swoją z wachlarzem w ręku. Obraz ten znajduje się w galeryi drezdenskiej. Kolorowych wachlarzy wolno było tylko używać mężatkom, białych zaś narzeczonym — inne młode dziewczęta nie miały ich wcale.

W Anglii zaczęły panie używać wachlarzy dopiero za panowania królowej Elżbiety. Poddani „dziewiczej królowej“ składali jej zawsze w dzień Nowego Roku wachlarz o złotem trzymadle, ozdobiony suto brylantami — w r. 1660 posiadała Elżbieta trzydzieści takich kosztownych wachlarzy.

Gdy za panowania Ludwika XIV. nie wiedzieli już dworacy, hrabiowie i markizowie, jak się ubierać, gdy wyczerpali już najrozmaitsze kokardy, koronki i wstążki, wtedy przyszło im na myśl: przyswoić sobie wachlarz, którym się dotychczas jedynie posługiwały panie. Sam król „nosił“ wachlarz, a przedmiot ten stał się tak modnym i do takiej doszedł potęgi, że najzręczniejsi mistrze, sławni rzeźbiarze i malarze oddali się na usługi tej zabawki. Rzeźbiarze dostarczali najpiękniejszych trzymadeł i pojedyńczych laseczek z kości słoniowej i perłowej macicy, a sławni malarze zdobili rozciągnięte na laseczkach koronki lub jedwabie ślicznemi obrazkami. I tak były wachlarze, malowane przez sławnego Watteau, kupowane później na wagę złota, tak samo i wachlarze Bouchera Bonnarta, braci de Bry i wielu innych mistrzow pendzla i dłuta. Znana z piękności Ninon de l'Enclos miała wachlarz, w którym pomiędzy laseczkami umieszczone były maleńkie szkiełka. Zakrywszy więc twarz wachlarzem widziała doskonale, co się w koło niej działo. Inne panie naśladowały ją zaraz. Wachlarze pani de Pompadour robione były z najdroższych koronek i kosztowały tysiące.

Pomimo tego wszystkiego nie dorównywały wachlarze owe tym, które sprowadzano z Chin. Były to arcydzieła, wyrabiane z starego laku, rogu i szyldpatu, a materye, pokrywające laseczki były tak cienkie, jak przędza pajęcza. Kilka z takich wachlarzy miała Marya Antonina, lecz dziś już i śladu po nich nie zostało. Wachlarze, które dziś mamy z Chin i Japonii, służą przeważnie do dekoracyi, inne zaś, dla użytku pań sprowadzane, nie są nic droższe od tutejszych. Dziś służą wachlarze tylko jeszcze, jako dodatek do balowej lub wieczorkowej sukni, podczas tańca przedmiot zupełnie zbyteczny, staje się użytecznym po tańcu dla ochłodzenia gorącej twarzy. Ale szkiełek już w nich nie ma — bo nie są potrzebne. Dziś słucha się wszystkiego i patrzy się na wszystko — bez zakrycia twarzy!

P. O.

Pałac cesarzowej Józefiny.

Bonapartyści francuscy mają teraz „nową cesarzową“, to jest córkę zmarłego króla Leopolda belgijskiego, Klementynę, zaślubioną Napoleonowi V., która właściwie powinna zamieszkać w dawniejszym pałacu pierwszej cesarzowej Józefiny, w Malmaison (zły dom).

Patrząc na śliczny pałacyk ten, otoczony wspaniałym ogrodem, nasuwa nam się pytanie, zkąd pochodzi ta nazwa, co jest tutaj złego? Że Józefina żyła tu, gdy Napoleon ją opuścił, to nie wystarcza ,aby dom był złym, „biedna pustelnica“ bowiem nie potrzebowała się znowu tak bardzo na los swój uskarżać. Dzisiejsze znane piękności jak la belle Otero, Cleo de Mèrode lub baronowa Vaughan, nie doszły do szczytu takiej świetności, jak owa kreolka Józefina, którą się przed 110 laty cały Paryż zachwycał! Dzisiejsze znane piękności stają się hrabinami lub w najlepszym razie księżnemi, lecz żadna nie została cesarzową! Nie zawsze nawet umieją tak gospodarować „zarobionemi“ milionami, że mają starość spokojną i zapewnioną — Malmaison zatem nie przyniósł, pomimo swej nazwy, za wiele złego przyjaciółce pani Tallien.

Nazwa „zły dom“ z dawniejszych datuje się czasów. Na miejscu, na którem wznosi się dziś uroczy pałacyk, stała niegdyś groźna wieża, zamieszkała przez rozbójników i złodziei, których podziwiamy dziś jeszcze, dając im grzecznie nazwę „rycerzy-rabusiów“, i których krwawe rozboje niektórzy bohaterskiemi zowią czynami. Obok Malmaison wiedzie droga od brzega Niższej Sekwany do Paryża—przedsetkami więclat musieli przejeżdżać tędy kupcy i pielgrzymi i to właśnie miejsce nadawało się doskonale na napady, wykonywane przez szlacheckich złodziei i zbójców. Tutaj pobudowali sobie twierdzę w rodzaju wieży i mieszkali w niej bezpieczni. Najwięcej wyrzekali na nich pielgrzymi, na Mont Valérien bowiem, u stóp której leżyMalmaison, nie znajdowała się wówczas forteca, tylko kaplica, do której schodzili się wierni z najrozmaitszych stron Francyi. Nawet przed zaprowadzeniem chrześciaństwa znajdowała się tam już pogańska świątynia, do której tłumnie poganie się schodzili. Malmaison był już może wtenczas gniazdem opryszków.

Józefinie podobała się niezmiernie ta miejscowość. Gdy była jeszcze żoną generała Beauharnais i gdy z każdym musiała się liczyć groszem, gdyż generał wcale bogatym nie był i dawał żonie bardzo niewielkie sumy na jej wydatki, mieszkała w skromnym domku w Croissy na przeciwnym brzegu Sekwany ,prawie naprzeciwko Malmaison. „Zły dom“ był wówczas najpiękniejszym w tej okolicy pałacem, a mieszkańcy jego przedstawiali uosobistnione bogactwo. Józefina spoglądała często w tę stronę, i jeżeli sobie czego życzyła, to owej białej willi, będącej dla niej zamkniętym rajem. Zaledwie więc miała potrzebne pieniądze, kupiła natychmiast przedmiot swych długoletnich marzeń.

Było to zaraz po ślubie z młodym generałem Bonaparte, z którym ją zapoznał wielbiciel jej, Barras. Józefina była już wówczas w wieku, w jakim młoda wdówka staje się bardzo prędko starą wdową, korsykański więc oficer dosyć jeszcze dobrą był dla niej partyą. Lepszy on, jak żaden! Napoleon zaś widział w Józefinie, sześć lat od niego starszej, i której dzieci jego rodzeństwem być mogły, pożądaną pomoc do osiągnienia gorąco upragnionej sławy. Opuścił narzeczoną swoją, pannę Desirée Clary*) i ożenił się z zawsze jeszcze piękną i powabną Józefiną, której wpływom zawdzięczał zaraz po ślubie to, że wielbiciel jej Barras mianował go dowódcą wojska francuskiego w Włoszech. Gdy Napoleon był w Włoszech, chciała Józefina kupić Malmaison, mąż jednak napisał, że nie pozwala na to, ponieważ cena 300,000 franków zbyt jest wysoką. I chociaż on sam dużo zarobił w Włoszech pieniędzy, nie chciał ani słuchać o tym wydatku. Dopiero podczas pobytu jego w Egipcie kupiła Józefina pałac — pieniędzy wprawdzie nie miała, lecz właściciel Malmaison miał wielkie zaufanie do generała Bonaparte. Józefina zapłaciła tylko 37,000 fr. i rozmaici łamali sobie już głowę nad tem, zkąd ona wogóle te

*) Panna Clary wyszła później za generała Bernadotte i była matką króla szwedzkiego. Linia Bernadotte panuje dotąd w Szwecyi.

pieniądze wzięła! Mąż nie dał ani grosza — Józefina twierdziła, że sprzedała część klejnotów, lecz niedowiarki podejrzywali, że tysiące z innego pochodziły źródła. Napoleon był zazdrosnym i miał podobno wszelkie do tego powody, co potwierdzają listy sióstr jego, pisane do niego.

W każdym razie po powrocie z Egiptu zapłacił Napoleon całą sumę i Józefina stała się właścicielką Malmaison.

Był to wówczas już śliczny pałacyk, nie przypominający niczem twierdzy opryszków. W porównaniu do królewskich zamków i pałacy w Wersalu, Compiègne lub Fontainebleau, jest Malmaison małym domkiem, i niejeden właściciel ziemski ma o wiele piękniejszy dom mieszkalny, jak Malmaison. Ale dobrze urządzić można się wszędzie. Miejsca jest tam dosyć i dla państwa i dla służby — stajnia wystarcza dla pięciu koni. Skromny pałacyk w stylu empire leży w obszernym i pięknym parku, który był za czasów Józefiny znacznie rozleglejszym, Józefina bowiem kupowała winnice, łąki i pola, graniczące z jej posiadłością i utworzyła z tego wszystkiego razem wspaniały park. Później rozparcelowano go na większe i mniejsze kawały i sprzedawano za drogie pieniądze mieszkańcom Paryża. Kilkaset wil i ogrodów znajduje się teraz na dawniejszem terytoryum Józefiny, ale dzisiejszy park zawsze jeszcze jest dosyć duży i odpowiedni do pałacyku.

Po śmierci Józefiny i po upadku cesarstwa sprzedano Malmaison Maryi Krystynie, królowej hiszpańskiej, znanej z lekkomyślnego i zbyt wesołego życia. Kazała ona obok pałacu wybudować małą gotycką kaplicę, znajdującą się tam aż do dziś jeszcze. Marya Krystyna mieszkała w Malmaison od r. 1843—1861, poczem podarowała pałac siostrzeńcowi swemu Napoleonowi III. W r. 1870 został pałac ten wraz z innemi pałacami i zamkami cesarskiemi własnością rządu, sprzedawano go i kupowano bezustannie, aż w końcu stał się własnością bardzo bogatego spekulanta na giełdzie, pana Osiris, który po kilku latach znów całą posiadłość Rzeczypospolitej podarował. Rząd długo się nad przyjęciem podarunku tego namyślał — wiadomem bowiem jest, że nie lubi być stróżem cesarskich relikwij, a tylko jako taka ma Malmaison pewne znaczenie. Po długich naradach przyjęto jednak pałacyk i urządzono w nim małe napoleońskie muzeum, starając się umeblować pokoje tak jak były urządzone za czasów Józefiny. Niektóre meble, znajdujące się tam, pochodzą rzeczywiście z ówczesnych pokoi cesarzowej, reszta dorobioną jest podług ich wzoru. Zresztą nie ma tam nic zajmującego do oglądania i każdy woli przechadzkę po bardzo pięknym parku, świadczącym o wytwornym guście Józefiny. Przypomina on całem założeniem park w Trianon, ulubionem miejscu pobytu nieszczęśliwej Maryi Antoniny i „cichy, szemrzący park Monceau", własność księcia Orleańskiego.

Są tam olbrzymie drzewa, przejrzyste potoki i stawy o lekkich, zgrabnych mostach, rozległe trawniki i klomby gęstych krzewów. Są dwa obeliski, przywiezione przez Napoleona z Egiptu, są kwiaty przecudne i aleje cieniste, lecz nie ma już owych pięknych, powiewnych postaci kobiecych, które niegdyś ożywiały ciszę w parku wesołym śmiechem i dowcipną rozmową. — Tak jak wszystko przemija na świecie, tak i świetne dni uroczego pałacyku minęły bezpowrotnie, a jedynem, co nam dziś, po za granicami Francyi dawną świetność „złego domu" przypomina, są białe, wonne róże, z lekkim odcieniem różowym: „Souvenir de Malmaison".

M. P.



Spłoszona.

Bóg nas nie stworzył na jęki bezsilne, ale na pracę w pocie czoła i serca: cierpieć i pracować.

J. K. Kraszewski.

* * *

Lubię piękny krój sukni, ubiory galowe,
Byle do nich stosownie umeblować głowę.

K. Brodziński.

DZIADUŚ.

Nowe słonko w niebie stoi,
Nowe słonko, nowe lato.
Wyszedł na próg dziaduś siwy:
— Bóg cię trzymaj, moja chato!

I obrócił się na strony,
I wyciągnął obie ręce,
Błogosławił krzywym płotom,
Krzywym płotom i studzience.

— Bóg was trzymaj, krzywe płoty,
Suchym chróstem zaplecione!
Chodziły tu różne wichry,
Ale poszły w swoją stronę.

Bóg cię żegnaj ręką swoją,
Ty studzieko z żytnią wiechą!
Napoiłaś ty mnie łzami,
Napoiłaś i pociechą!

I obrócił się na zachód,
Na to pólko, na te łany:
— Bóg cię trzymaj, ziemio moja,
Mój zagonie przeorany!

Siedmiorakiem ja cię potem,
Jako drobnym dżdżem polewał,
I za pługiem chodząc miedzą,
Jak skowronek tobiem śpiewał.

Razem z ziarnem — krople potu,
Razem z potem — pieśnie padły,
Na ten chleb naszego jutra,
Żeby kruki go nie jadły!...

I obrócił się na słońce,
Gdzie się łąka rozzielenia,
I zamachnął się ogniście,
Jakby kosą od ramienia.

— Bóg cię trzymaj, moja łąko,
Przesieczona ostrą kosą,
Świeciłaś ty znojem naszym,
Świeciłaś ty bujną rosą!

Marya Konopnicka.

Zwykle człowiek zhardzieje,
Gdy mu się dobrze dzieje,
Więc też kiedy go fortuna omyli,
Wnet głowę zwiesi i powagę schyli.

Jan Kochanowski.

* * *

Jest to dość powszechne, ale zupełnie mylne przekonanie, jakoby praca odbierała człowiekowi siły. Przeciwnie przy pracy ,skóra grubieje, kości się rozrastają, ciało gęstnieje, cały człowiek staje się tęższym, a tem samem zdrowszym i silniejszym.

Józef Supiński.

Gabryel Pruszyński.

Na niedźwiedzia.

(Dokończenie).

Nagle drgnąłem, bo, podniósłszy wzrok, ujrzałem na dwieście kroków przed sobą pożądanego wroga. Wprost przedemną sunął na czterech łapach ogromne niedźwiedzisko, węsząc i nasłuchując; a szedł tak cicho, że w pierwszej chwili zdawać się mogło, że to nie rzeczywistość, a sen, lub złudzenie.

Oprzytomniałem wszakże natychmiast.

Niedźwiedź, kołysząc się, przylgnął prawie do ziemi, usiłując najmniej być widocznym, bo prawdopodobnie miał w uszach odgłosy obławy, której nawoływania niewyraźne nadbiegały teraz z głębin ostępu, więc węszył i przystawał, oryentując się, skąd szło niebezpieczeństwo. A ja z zapartym oddechem już byłem gotów do strzału, gdy nagle huknęła flinta mego rządcy, a lekko ranny zwierz, dawszy susa w górę, zawrócił się i począł biedz w stronę naganki.

Teraz znowu gniew po stracie strzału mnie chwycił. A tu Skurzyński woła:

— *Panyczu, bude miaso, bo med'wid' wernułsia na nahanku, a tam baby, taj diwczata. Treba bihty na perełaj czerez bołoto, bo ne daj Bih, ałe bude neszczastje!...*

Nie namyślając się tedy ani chwili, pędzimy co tchu z leśnikiem na przełaj lasu, aby przeciąć drogę rozjuszonemu raną zwierzowi, który nader łatwo na bezbronnych ludzi mógł się rzucić. Myśl o własnem niebezpieczeństwie i o pomniejszonej biegiem i zmęczeniem pewności strzału z głowy wyleciała. Pędziliśmy z początku razem, a potem leśnik, wskazawszy mi ścieżkę, sam pomknął gęstwiną i wkrótce uczułem, że, pomimo najszczerszej chęci szybkiego dotarcia do celu, oddechu mi braknie, zwolniłem więc nieco biegu, by tchu do piersi zaczerpnąć.

Szedłem zwykłym już, szybkim krokiem, a w mózgu tkwiła uparta myśl, że Skurzyński ma ogromne szanse przedemną i że może zgoła napróżno męczyłem się i denerwowałem dzień cały.

Ale inaczej było każdemu z nas sądzone.

Usłyszałem nagle szał, ryk okropny i jakby stłumiony jęk.

Porwałem się w tę stronę, co sił starczyło, a dobiegłszy do małej polany, ujrzałem straszny widok przed sobą: Skurzyński, cały krwią zbroczony, leżał na ziemi, a niedźwiedź dusił go swojem cielskiem i łapami szarpał. Chciałem strzelić, lecz w czas się opamiętałem, że i człowieka mogę zranić, obszedłem więc leżących, wypatrując, gdzie bez szkody dla leśnika mogę w zwierza kulę wpakować i strzeliłem wreszcie w tylną łapę...

Niedźwiedź, uczuwszy ból, obrócił się w jednej chwili, a gdy mnie spostrzegł, ryknął przeraźliwie i z wywieszonym ozorem i wściekłością w ślepiach na dwóch łapach ku mnie ruszył.

Miałem jeden tylko strzał, więc nie dziw, że na razie zdrętwiałem i na widok zbliżającego się ku mnie potwora pociemniało mi w oczach. Zmogłem się atoli natychmiast i, przywoławszy całą krew zimną, od której życie moje zależało, wycelowałem w pierś, i, przypuściwszy zwierza na piętnaście może kroków, wpakowałem mu kulę w samą komorę, przebijając i kość pacierzową.

Zachwiał się i jak dąb runął przed siebie, a tak był blizko, że musiałem w bok odskoczyć, by, padając, cielskiem swojem ogromnem mnie nie przygniótł. Miotał się czas jakiś i rzucał wściekle, sąsiednie młode brzózki niszcząc, wreszcie krwią spłynął i ucichł, słabem tylko rzężeniem świadcząc, że życie zeń powoli uchodzi.

Uczułem teraz dziwne, spowodowane naprężeniem przeżytej chwili omdlenie; śmierć mi wszak prosto w oczy zajrzała...

Parę haustów gorzałki pokrzepiły mnie jako tako, a widok martwego prawie człowieka, który przedemną w kałuży krwi leżał, o ratunku myśleć nakazywał.

Sięgnąłem po róg myśliwski, [illegible] głosu z rogu wydobyć nie mogłem; zacząłem nawoływać, lecz nikt nie odpowiadał; dopiero na kilka moich strzałów, odezwały się wystrzały i nawoływania dalekie, więc w nadziei, że pomoc się zbliża, zająłem się rannym.

Wlany siłą do gardła haust wódki oprzytomnił go nieco. Natarłem mu i skronie wódką, a wilgotnym mchem twarz okrwawioną zlekka oczyściłem. Zwłaszcza ręce miał piekielnie poszarpane, należało więc co prędzej krew zatamować i przy tej właśnie czynności nadeszli moi ludzie, na których hukanie i nawoływanie od czasu do czasu odpowiadałem.

Ze szczerą, niekłamaną radością witali mnie moje poczciwe Poleszuki, a gdy ujrzano w pobliżu zabitego niedźwiedzia, głośnemi okrzykami powinszowań i tryumfu wypełniła się gąszcz

leśna, gdzieśmy się tak nieoczekiwanie wszyscy znaleźli.

Nie tracąc ani chwili czasu, posłałem po wodę, a znalazły się wkrótce i nosze, naprędce siekierami zbite, na których złożyliśmy nieszczęśliwego leśnika, prawie żadnych oznak życia nie dającego. Obandażowaliśmy mu tylko w miarę możności rany i ośmiu chłopów w powrotną drogę go poniosło, podczas gdy na innych noszach piętnastu Poleszuków zabitego niedźwiedzia dźwigało.

I tak ten orszak napoły radosny, a napoły żałobny przez puszczę wolnym krokiem ku taborowi zdążał, a gdyśmy tam nakoniec przybyli, wysłałem natychmiast konnego po doktora, a Skurzyńskiego, którego chata w pobliżu leżała, do domuśmy odnieśli.

Lament w chacie powstał niemały.

Ledwie uciszyłem jego kobietę, zapewniwszy, że mężowi niczego nie zbraknie, że całą kuracyę biorę na siebie, a co tylko potrzeba, natychmiast ze skarbu dostanie.

Posiliwszy się następnie pod gołem niebem, ku czemu wielki już był czas, bo słońce chyliło się ku zachodowi, ruszyliśmy wreszcie do domu wraz z zabitym niedźwiedziem, który tak był wielki, że leżącemu na wozie łeb zwisał ku ziemi.

Stanowił on czoło pochodu.

Usiadłem na niego, niby tryumfator z czasów zamierzchłych, otoczony konną drużyną leśną; a za nami wydłużonym szeregiem pociągnął cały orszak — barwny i gwarny.

— — — — — — — — — — —

Przybywszy do domu, przy świetle kagańców wyciągnęliśmy niedźwiedzia na szubienicę, która zwykle dla grubszego zwierza się używała, i po chwili, postawiwszy straż, aby olbrzymie cielsko od szkody uchronić, udałem się do siebie, aby się wieczerzą wraz z rządcą posilić.

Okazało się, że tak, jak Dmytro dowodził, niedźwiedzie przywędrowały do ostępu we trójkę, lecz w ogólnem zamieszaniu, jakie odysseja rannego ich przywódcy sprawiła, dwa pozostałe wymknąć się z rąk naszych bez szkody dla siebie zdołały.

Skurzyński cztery miesiące w łóżku wyleżał, mięśnie mu się zrosły akuratnie, a chociaż chciałem go od uciążliwych obowiązków leśnika uwolnić, nie zgodził się przeto i długo jeszcze w lasach naszych na dawnem stanowisku sługiwał, nie pełniąc wszakże obowiązków cięższych, a zajmując właściwie stanowisko lustratora leśnego. Syna mu potem trzymałem do chrztu i kilku dziesięcinami ziemi z pozwolenia ojcowskiego obdarzyłem, udzielając jednocześnie budulcu na wzniesienie chaty.

Skórę z niedźwiedzia wyprawić naturalnie kazałem, a kulę, od której krwawa bestya zginęła, do dzisiejszego dnia w odpowiedniej oprawie posiadam.

Miała i swój epilog owa pamiętna w życiu mojem wycieczka zbrojna na potężnego rabusia puszczy, bo przyjechał stanowy i, spisawszy protokół za zebranie obławy bez pozwolenia policyi, broń mi skonfiskował.



Przyjemne spotkanie.

Przyjaciele w naszym czasie,
Jak wskazówka na kompasie:
Gdy pogoda, cień się trzyma;
Jak pochmurno, to go niema.

St. Jachowicz.

To i owo.

Zastrzelony dyabeł.

Pewien wieśniak w Dolnej Austryi sprzedał na jarmarku dwa woły, a pieniądze schował do komody w izbie. Nazajutrz wieczorem poszedł z żoną, starszym synem i córką do gospody na muzykę, a w domu zostawił tylko najmłodszego, dwunastoletniego chłopca. Późnym wieczorem, nim chłopiec usnął, posłyszał, że ktoś śmiało otwiera drzwi do mieszkania. Zerwał się i pyta: „Czy to tatuś i mama?"" Drzwi się w tej chwili szeroko rozwarły i w

oświetlonej izbie ukazał się w całej paradzie dyabeł, z koźlemi rogami na głowie, gębą czarną, jak sadza i wywieszonym, czerwonym językiem. „To nie tatuś — odparł srogo dyabeł — tylko ja, Dyabelska Mość! Ukłoń mi się pokornie i jeśli chcesz, abym cię w tej chwili nie porwał do piekła — mów zaraz, gdzie ojciec schował pieniądze za woły!“ Wystraszony chłopiec, dzwoniąc zębami z trwogi, wyjąknął pokazując na szufladę w komodzie:

— „Tutaj, wielmożny panie dyable!“ — „Tak, to mi się podoba, nie pójdziesz do piekła — rzekł zadowolony pan dyabeł, dobył pęk wytrychów, jednym odrazu otworzył zamek, zabrał pieniądze i na odchodnem pożegnał chłopca; „No bądź zdrów, synu, a pozdrów pięknie ojca odemnie!“

Podczas dobywania się dyabła do komody, rezolutnemu chłopcu błysła myśl, że to może tylko złodziej, który dla postrachu udaje dyabła. To też gdy mniemany syn piekła, odchodząc, otwierał drzwi, malec w okamgnieniu porwał ze ściany ojcowską nabitą fuzyę i wypalił „dyabłowi“ w plecy. Ten z głuchym jękiem zwalił się z nóg, chłopiec zaś pobiegł do gospody z dymiącą strzelbą w ręku, a znalazłszy tam ojca, zaczął wołać od progu: „Tato zabiłem dyabła! zabiłem dyabła!“ Ojciec, matka, rodzeństwo i wszyscy goście zaraz pobiegli na miejsce wypadku i przekonali się, że „dyabłem“ był parobek z sąsiedniego domu, który już nieraz sztuczek złodziejskich próbował, i że w istocie śmierć poniósł.

* * *

Osobliwe samobójstwo.

Ludzie zrozpaczeni, nawet przed rozstaniem się z życiem, starają się zrobić coś niezwykłego. Niektórzy, postanowiwszy zginąć samobójczą śmiercią, starają się uczynić ją zupełnie odmienną od znanych sposobów odbierania sobie życia. W swoim czasie pewien oficer zastrzelił się z armaty i gazety całego świata rozniosły ten wypadek jako niebywałą osobliwość. Teraz znów pewna kasyerka z Lublany, posądzona niesłusznie o kradzież, wybrała niezwykły sposób samobójstwa. W tym celu udała się w góry, w Alpy, zaopatrzona w długi sznur. Jeden koniec sznura przyczepiła do drzewa, rosnącego nad przepaścią, drugi owinęła sobie koło szyi. Dokonawszy tych przygotowań, rzuciła się w przepaść. Oczywiście, że śmierć nastąpiła natychmiast.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 4-go czerwca 1257 śmierć księcia Przemysława.

Dnia 5-go czerwca 1569 wcielenie księstwa kijowskiego do korony. — 1694 bohaterska obrona Hodowa.

Dnia 6-go czerwca 1443 trzęsienie ziemi w Polsce. — 1794 bitwa pod Szczekocinami.

Dnia 7-go czerwca 1492 śmierć Kazimierza Jagiellończyka. — 1661 wjazd uroczysty Stefana Czarnieckiego do Krakowa.

Dnia 8-go czerwca 1612 śmierć Stanisława Karnkowskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego. — 1794 bitwa pod Chełmem.

Dnia 9-go czerwca 1044 Władysław Jagiełło nadaje przywileje Wschowie. — 1505 urodzenie Władysława IV. — 1831 bitwa pod Uchaniami.

Dnia 10-go czerwca 1561 Jan Kazimierz przybywa do Częstochowy. — 1669 sejm elekcyjny.

Humor i satyra.

Z facecyj autentycznych.

Pewnego razu wszedł ks. Radziwiłł „panie kochanku“ do swej alkowy i ku największemu zmartwieniu zobaczył na dywanie czerepy ze stłuczonego porcelanowego jakiegoś cacka. Czerepy zbierał właśnie lokaj Jan. Książę wpadł w gwałtowny gniew, chwycił za harap i nuż okładać nim Jana! Daremnie Jan coś tam na usprawiedliwienie swe bełkotał — — książę bił, póki się nie zmęczył. Gdy ustał, rzekł Jan:

— Za cóż, Jaśnie panie, zbiłeś mnie tak niemiłosiernie? Nie ja zbiłem naczynie, ale Michał.

— Czemu błaźnie nie powiedziałeś zaraz? — odrzekł Radziwiłł, któremu było teraz przykro, że niesłusznie ukarał Jana.

— Mówiłem, ale świst harapa zgłuszył mój głos.

— No, rzekł książę już uspokojony — niesprawiedliwie postąpiłem z tobą, ale na przyszłość, gdy ty zawinisz, to Michał dostanie.

A Jan na to:

— A, ty łajdaku! ty gałganie! Toć to taka twoja książęca sprawiedliwość? Tyś osieł, nie Radziwiłł!

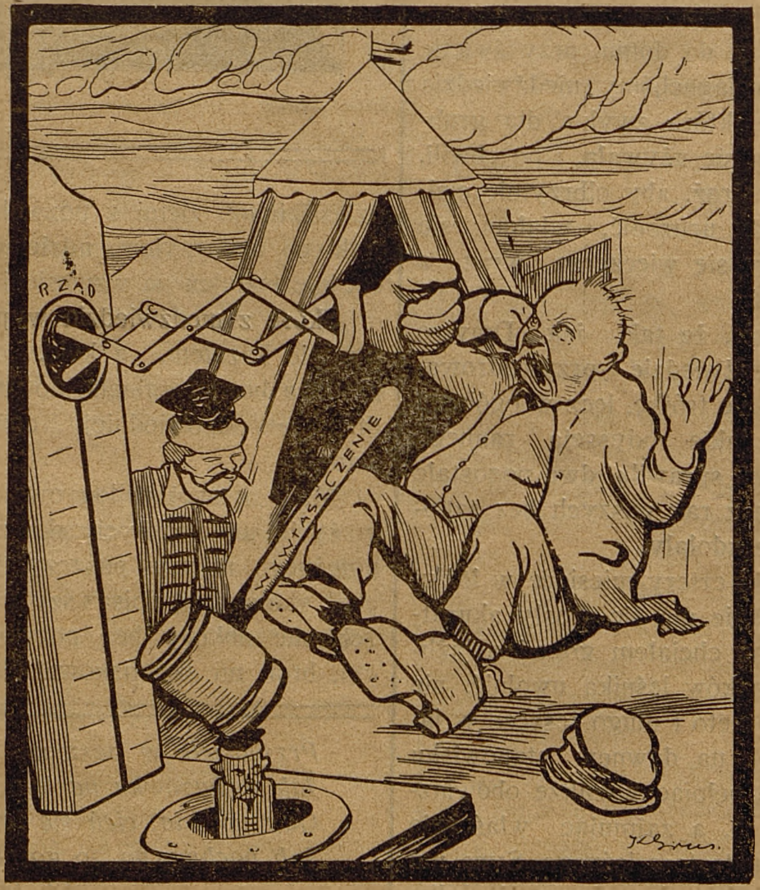
Radziwiłł nie chciał swoim uszom wierzyć. Coś takiego słyszeć od lokaja!...

Stał chwilę niesłychanie stropiony, ale wnet rzucił się na Jana, jak furya. Zaraz jednak zmitygował go Jan, mówiąc:

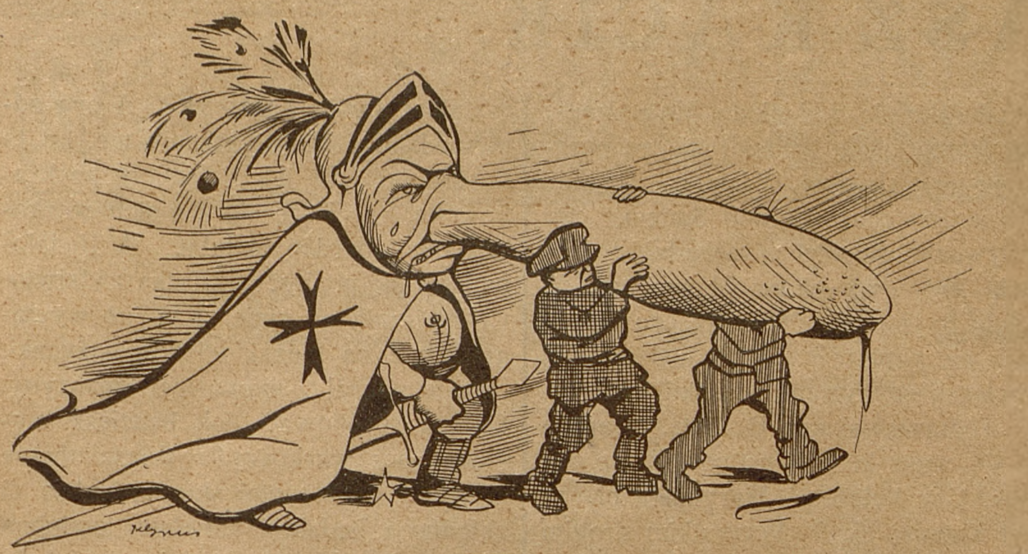
— Teraz nie ja, lecz Michał dostanie.

* * *

Napoleon I. będąc w swej bibliotece, chciał kilku obecnym w niej oficerom pokazać jakieś dzieło, lecz półka była za wysoka i nie mógł go dostać. Wtedy marszałek Mortier przyskoczył szybko mówiąc:



Niebezpieczny siłomierz.



Powrót rycerza trzech liter z Berlina.

„Pozwól najjaśniejszy panie, ja jestem większy...“

„Chcesz pan powiedzieć dłuższy...“ poprawił go Napoleon żartobliwie.

* * *

W mieście N. na prowincyi burmistrz X. polecił panu Z., sekretarzowi magistratu, aby kupił dwa dzwonki, jeden do posiedzeń miejskich, a drugi na służbę, przyczem wyraził życzenie, aby dzwonki były jak największe.

Sekretarz miał z powodu wielkości dzwonków pewne skrupuły, ale wiceburmistrz je usunął mówiąc:

— Kup pan takie, jakie on chce. To już zawsze tak bywa, że im większy błazen tem większe musi mieć dzwonki.

* * *

Ładne porównanie.

(U właściciela stajni wyścigowej).

Właściciel: No, co wy tu chcecie z waszym chłopakiem?

Baba: Przyszłam prosić Jaśnie pana, aby przyjął chłopca mego do stajni; on ma angielską chorobę, toby prawie pasował do anglików, co są w stajni Jaśnie pana!

* * *

Jak dbać, to dbać.

Członek towarzystwa ochrony zwierząt p. hr. X. do lokaja: Janie, złapcie tę dużą muchę — tylko ostrożnie i wypuście ją przez okno!

— Dobrze, p. hrabio, ale tam deszcz pada — może by jej dać — parasol?

* * *

Z klubu karciarskiego.

— Wyobraź sobie, wczoraj posądzono mnie w klubie o fałszywą grę w karty i zostałem zrzucony ze schodów pierwszego piętra na dół. Jak sądzisz co mam zrobić?

— To bardzo proste. Grywaj tylko w parterowych lokalach.

Względny.

Sędzia: Dlaczegoż pan nie rozdzielił bijących się i nie uspokoił?

Gospodarz: A bo proszę pana sędziego — jeden z turystów fotografował ich właśnie, to nie chciałem mu przeszkadzać!

Zagadka.

Nadesłał czytelnik „Pracy“ p. Wiktor Polak z Bobrku na Górnym Śląsku.

X	.	.
.	X	.
.	.	X
.	X	.
X	.	.
.	X	.
.	.	X
.	X	.
X	.	.
.	X	.
.	.	X

W miejsce krzyżyków i kropek wstawić litery tak, żeby powstało 11 wyrazów.

Litery wstawione w miejsce krzyżyków, czytane z góry na dół, dadzą nazwisko poety łacińskiego i polskiego, sławnego w XVI wieku.

Znaczenie wyrazów: 1) Dopływ Wisły, 2) Wydzielina gruczołów ocznych, 3) Nie dobry, 4) Owad, 5) Rodzaj poezyi, 6) Inaczej tęskno, 7) Pytanie, 8) Zwierzę drapieżne, liczba mnoga, 9) Dopływ Dunaju, 10) Westchnienie, 11) Krzew.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 8 go czerwca włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie tak zagadki jak też znaczenia wyrazów

Rozwiązanie łamigłówki zamieszczonej w numerze 21-ym:

o	s	a	**r**	o	k	**k**	o	s	**a**	g	a	**n**	o	c
s	o	k	o	k	o	o	d	a	g	i	l	o	n	a
a	k	r	k	o	t	s	a	n	a	l	t	c	a	r

Orkan.

Trafne rozwiązanie nadesłały do dnia wyznaczonego terminu t. j. do dnia 25-go maja włącznie następujące osoby:

Z POZNANIA: pp. Wanda Malinowska, Janek z pod Góry Przemysława, Edmund Rożnowicz, K. Kubowicz, Pelagia Maik, Stanisława Chmarówna, Zygmunt Świerkowski.

Z PROWINCYI: pp. Jaroch Czabański z Zaniemyśla, L. Kulesza z Szamotuł, Bolesław Barciszewski, Jadwiga Scholtz i Łucyan Beutlich z Wrześni, Stanisław Kowalski z Jaraczewa, Marya Honorata Kostkowa Puknijsię z Mełpina w powiecie śremskim, S. Janiszewski z Sławoszewa w powiecie jarocińskim, Zofia Mąka z Czermina w powiecie pleszewskim, Konstancya Kolańczyk z Słomowa pod Pleszewem, Gabryela Wałczyńska z Baranowa w powiecie kępińskim, Br. Wolniewicz z W. Wysocka pod Osrrowem, Elżbieta i Hanka Turnianki ze Słomowa pod Rogoźnem, Łucya Zelma z Wiesentalu pod Piłą, K. Śmigielski z Chabska, Jadwiga Nęcka z Donaborowa w powiecie kępińskim.

Z PRUS ZACHODNICH: pp. Zofia Gniatczyńska i Aniela Grzankowska z Torunia, Franciszek Ziółkowski z Łążyna, A. Puchalski z Bedlenken pod Laskowicami.

Z GÓRNEGO ŚLĄSKA: pp. Wiktor Polak i Ludwika Rotter z Bobrku, Emil Gałonska ze Starych Gliwic, Wiktor Kłoda z Mokrego pod Koronowem, Józef Szudy z Redendorf, Feliks Musialik z Rozbarku, Karol Krzystolik z Tychów, Leopold Sobotta z Błażejowic w pow. kozielskim, Berta Badura z Rożdzienia.

ZE ŚLĄSKA AUSTRYACKIEGO: pp. Stefania Malinowska z Jabłonkowa i Alojzy Kopel z Zebrzydowic.

Z GALICYI: pp. G. Ochenduszko z Liska, Jan Krzyszkowski z Kałusza i H. Wodecki z Ropczyc.

Z OBCZYZNY: pp. Jan Grzankowski z Osterfeldu, Jan Krzyżaniak z Hostermark, Ludwika Bock z Berlina, Leokadya Kulińska i Stefania Dużyńska z Neu Welzow na Dolnych Łużycach.

Nagrodę otrzymali: pp. Bolesław Barciszewski z Wrześni, Feliks Musialik z Rozbarku i Stefania Malinowska z Jabłonkowa.

NASZ KĄCIK.

Zesłanie Ducha świętego.

W ziemi życia bije tętno,
W szatę ubrał się odświętną
Każdy kwiat i krzew,
Nawet chwast się stroi w kwiecie,
Cudnie, wonno jest na świecie,
Płynie słodki wiew.
Ziemia drży oczekiwaniem,
Upragnieniem, ukochaniem,
Drga kwiecisty puch,
Bo tam, kędyś z za błękitu,
Z za bielutkich chmurek szczytu
Spłynie święty Duch.
Tchnie we wszystko nową siłę,
Takie błogie ciepło miłe
I miłości czar
I uświęci i oświeci,
Wszystkie ziemi tej tu dzieci,
Wleje w serca żar.
Dziecię, patrz — Zielone Świątki!
Oczyść z grzechów serca kątki,
Spójrz, lśni słońca blask,
Rozgrzej serce swoje w skrusze,
Niech Duch święty spłynie w duszę
Światłem nowych łask!

P. W.

Odpowiedzi.

Wszystkim drogim dzieciom serdecznie dziękuję za milutkie liściki i pocztówki, cieszę się bardzo, iż pomyślałyście dziatki o tem, aby za nagrodę podziękować, i że wam się książeczki podobają. Jadwinia i Albinka Badurówny w Roździeniu. Dobrze dziewczynki, że podałyście mi bliższy adres, to na drugi raz, jeśli znów nagrodę uzyskacie, listowy prędzej was odnajdzie. Mania Błaszczykówna w Buku. Nie, Maniu, nie gniewam się i nawet pochwalam to, że oddałaś mamie na imieniny nagrodę, która ci tyle sprawiła radości. W „Pracy“ znają mój adres, bardzo się ucieszę jeśli mnie odwiedzisz. Historyczne zagadki będą dopiero przy końcu przyszłego kwartału. — Lodzia Bartzówna w Łagiewnikach. Dzięki ci Lodziu za kwiatki, schowałam je na pamiątkę! Antoś Jesionowski w Poznaniu. Dotrzymaj Antosiu obietnicy i donoś mi wszystko o sobie! Irenka Koperska w Kostrzynie. Dobrze Irenko, że starasz się przysporzyć czytelników „Kącikowi.“ Donieś mi, których wierszy się nauczysz i czy już dużo groszy zebrałaś w skarbonce na książeczkę! Zbyszek Nowacki w Osiu. Ślicznie mój Zbyszku, egzaminuj kuzyneczki w Dreźnie i zadawaj im historyczne zagadki! Tęp zielsko w ogrodzie, ale i wady w serduszku, a może nie ma ich tam wcale, co? — Maryś i Kazio Ochenduszkowie w Lisku. Moje drogie chłopczyki, znów mi taką śliczną pocztówkę przysłaliście, dziękuję. Pięknie tam u was zdaje się nad Sanem, czy odbywacie dalekie przechadzki? Hanusia Preibiszówna w Mokronosie. A czemu to Hanusiu, Józia też czasem do mnie nie napisze? Gdzie będzie twój braciszek uczęszczał do szkół? Marynia Tomaszewska w Berlinie. Bardzo mi się wasz kościół na pocztówce podoba. Czy byłaś już Maryniu u pierwszej Komunii św.? Wszystkim drogim dzieciom, które mi pisały, że zasyłają do Boga modlitewki na moją intencyą, szczerze za to dziękuję i całując je najserdeczniej zostaję wierną przyjaciółką.

Paula Wężyk.

Czerwony zeszycik.
Mój dzienniczek.

Mokoszyn, 23. 7. 11.

(Ciąg dalszy.)

Nie przestałam tęsknić za p. Mieczysławem, ale już teraz tak mi się nie nudzi. Chodzimy z ciocią na dalekie przechadzki, bo cioci bardzo się nasza okolica podoba, a przed wieczerzą siadamy razem na ganku i ciocia opowiada nam o Poznaniu i o dzieciach wielkopolskich.

24. 7. 11 r.

O, teraz to już pewnie nie długo wybierzemy się do Ojcowa, bo i ciocia ma ochotę tam jechać i państwo M. z Kamienia także proszą, abyśmy zabrali z sobą p. Felę, Lwowiankę, która u nich bawi. Żeby tylko te żniwa jaknajprędzej się skończyły! Cieszę się, bo moi uczniowie robią dobre postępy, a najpilniejszy jest Michał. — Dziś rano tatuś wyjechał na parę dni za interesami do Warszawy. Przysłowie mówi, że, jak kota nie ma w domu, to myszy tańcują. Ale to nieprawda, a ja jako jedyny mężczyzna będę się wszystkimi opiekował!

25. 7. 11.

O, mój Boże, ładnie wygląda moja opieka! Nie mam się wprawdzie czem pochwalić, ale kiedy obiecałem p. Mieczysławowi wszystko zapisywać, więc nie mogę zataić tego co się stało. Halszka zawsze przy czesaniu warkoczyków tak się kręci na krzesełku, tak syka i tak się niecierpliwi na Józefę, że aż żal mi było i jednej i drugiej i zacząłem rozmyślać nad tem, jakby je obie uwolnić od tego, no i coś wymyśliłem. Kiedyśmy po śniadaniu wybiegli do ogrodu zapytałem: Halszko, czy ty lubisz swoje warkocze? A ona odpowiedziała: Przy czesaniu nie, bo to bardzo boli, ale jak się ubiorę po krakowsku, to cieszę się z moich warkoczyków i bardzo je lubię. A chciałabyś ich się pozbyć? Halszka zadziwiona spojrzała na mnie, a ja już wyciągnąłem z za bluzki wielkie nożyczki, com je zabrał z mamusinej maszyny. Chcesz spróbować jak będziesz wyglądać bez warkoczy? Wiesz obetnę ci włosy przy samej skórze, będzie ci chłodno i będziesz zupełnie podobna do tatusia. Halszce to się spodobało i zaczęła w rączki klaskać. Dobrze Januszku, obetnij mi warkoczyki na próbę! Ukryliśmy się w gęstych krzakach, ciach, ciach i już leżał na ziemi pierwszy warkoczyk, lecz nim się zabrałem do drugiego, wystrzygłem włosy z tej strony w różne wzory, kółka i zęby. Halszka jednak bardzo jest próżna i zaraz chciała się przejrzeć, a że nie miałem lusterka, więc pobiegliśmy nad staw. Halszka przechyliła się, zajrzała i krzyknęła. Ach, jakaż ja teraz straszna, ja chcę mieć mój warkoczyk z powrotem i w głos się rozpłakała. Uspakajałem ją, że jej włosy przylepię i gdy się trochę uciszyła pobiegłem i z tatusiowego biurka wziąłem buteleczkę kleju. Próżno jednak wylałem wszystek klej na głowę Halszki, warkoczyk już się nie przylepił, a za to zwalałem jej sukienkę, pozlepiały się włosy z drugiej strony głowy, a klej strasznie ją w oczy szczypał, zaczęła je więc trzeć i z całej siły krzyczeć. Nie wiedząc już co począć, chciałem jej głowę na dół w stawie zanurzyć i tam ją opłukać. W tem słysząc jej płacz nadbiegły mamusia z ciocią i aż oniemiały w pierwszej chwili. Teraz biedna Halszka wykąpana i jak rekrut króciutko ostrzyżona śpi w łóżeczku i przez sen jeszcze wzdycha. Mamusia i ciocia bardzo się na mnie gniewały, szczęście, że tatki nie ma, rózga pewnie byłaby w robocie, chociaż ja naprawdę źle zrobić nie chciałem. Oj, jednak myszy tańcują, jak kota nie ma w domu, a ze mnie lichy opiekun i wcale jeszcze jednak nie mogę się zwać mężczyzną.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Gerard d'Houville.

CZERWONY MOTYL.

Przekład z francuskiego.

Fulgens miał pozór bardzo starego człowieka, w rzeczywistości jednak nie był tak wiekowym, lecz ciągła troska pochyliła i zgarbiła mu ramiona; oczy jego zdawały się wciąż gonić za czemś cudownem i niepochwytnem; ręce o palcach długich i zręcznych wyciągały się często, szybkie i ostrożne, jak gdyby mające pochwycić coś lotnego i lekkiego, co się zatrzymywało na chwilę przed nim. Ubrany zawsze w kolor bronzowy, nosił krawaty czerwone, pomarańczowe lub purpurowe, których żywe barwy błyszczały, jak powierzchnia ciemnego skrzydełka; kapelusze jego były z pluszu kosmatego, przypominającego puszyste ciała niektórych motyli. Tak ubrany, Fulgens miał niewyraźne podobieństwo do owych nocnych Sfinksów, które ogłuszone, oszalałe krążą bez końca około płomienia, pociągającego je tak samo, jak kielich purpurowego kwiatu.

Fulgens powracał często z długich swych wycieczek, obciążony małemi pakietami, które, sądząc ze sposobu, w jaki je dźwigał, musiały zawierać bardzo cenne przedmioty.

Niejednokrotnie też wyjeżdżał w długą podróż i powracał nagle, nie uprzedzając swego wiernego służącego. Wtedy pierwsze odezwanie się do tegoż było poleceniem wypakowania jak najostrożniej zawartości niektórych skrzynek, a pierwsze spojrzenie zwrócone było na wielkie meble, o tysiącu płaskich szufladek, ustawione pod ścianami całego jego mieszkania. Gorączkowo wyciągał z kieszeni pęki złotych i srebrnych kluczyków i otworzywszy pierwszą szufladę, dobywał z niej coś w rodzaju deseczki, na której pod szklanem przykryciem, jakby w małych białych grobowcach spoczywały motyle najrozmaitszych form, barw, pochodzące ze wszystkich krajów. Fulgens, nawpół szczęśliwy, nawpół zasmucony, pogrążał się w nieskończoną kontemplacyę. Brał małe pudełeczka, jedno po drugiem, i patrząc na migocące w świetle świetne barwy ich ślicznych umarłych skrzydełek, całemi godzinami szeptał sam do siebie: „Nie mam czerwonego! Nie mam czerwonego!“

Będąc jeszcze prawie dzieckiem, miał Fulgens przyjaciółkę, rówieśnicę swoją, którą kochał z czułością bez granic, uwielbiał, jakby jakąś wieszczkę, czcił, jak bóstwo, podczas, gdy była to tylko wdzięczna laleczka. Gdy ujrzał coś w naturze, co mu ją przypominało, coś pięknego i wdzięcznego, niósł jej to w darze. Pochylony nad wilgotnemi i piaszczystemi wybrzeżami, zbierał dla niej muszle. Zrywał jej kwiaty, przynosił gniazdka i ptaszki młode i uganiał się za różnobarwnemi motylami: zawsze tylko dla niej. Motyle lubiła ona nadewszystko. Dla przypodobania się jej, chociaż nie był okrutny, chwytał je za brzegi ich pięknych skrzydeł i przynosił jej te trzepoczące się zdobycze. A ona, z naiwnie okrutnym uśmiechem, przebijała je długą igłą i z ciekawością patrzyła jak umierały. Otóż, pewnego razu, gdy Fulgens przyniósł jednego z tych malutkich błękitnych motyli, przypominających niezapominajki, lub kwiaty lnu, unoszące się za wiatrem, z pogardliwą minką odmówiła:

— Przynosisz mi zawsze jednakowe motyle, rzekła, chciałabym mieć motyla czerwonego... koloru krwi.

Długie dnie szukał czerwonego motyla i nie znalazł go nigdy. A mała jego przyjaciółka drwiła zeń w sposób uroczo okrutny. Tymczasem rodzice dziewczynki sprzedali posiadłość, w której mieszkali tuż obok domu Fulgens'a i wyjechali gdzieś... bardzo daleko... Biedny Fulgens ciężko się zasmucił. Pisywał regularnie listy do swej małej przyjaciółki, która w początkach ich rozstania odpisywała mu, lecz nadszedł dzień, kiedy nie otrzymał już żadnego listu; ostatni, jaki mu przysłała, kończył się kapryśnym frazesem: „Żegnam cię, Fulgens, pewno już się nie zobaczymy nigdy... gdyż nie chcę cię widzieć dopóki mi nie znajdziesz czerwonego motyla.“

Fulgens omal nie umarł z rozpaczy i z zawiedzionej miłości. W czasie swej długiej choroby powtarzał w gorączce wciąż jedną zwrotkę: „czerwony motyl... czerwony motyl...“ Izrywał się z łóżka, by biedz za skrzydlatem stworzeniem, które widział w swych snach gorączkowych.

Przyszedł do siebie, pozostało mu wątłe zdrowie i słabość umysłu. Nie lubił już nic, ani nikogo, oprócz motyli. Śmierć rodziców prawie go nie zmartwiła: zostawili mu dość znaczny majątek, który pozwolił mu oddać się jedynym upodobaniom, jakie mu pozostały: podróżom i zbieraniu motyli.

Przebiegał najgorętsze kraje, najbardziej oddalone, najbardziej nieznane i przywoził stamtąd cudowne motyle, które nabywał od kupców lub od krajowców. Narażając się na febrę i na palące słońca promienie, zbierał je też sam w godzinach najgorętszych, kiedy na płatkach najpiękniejszych kwiatów wypoczywają najświetniejsze motyle skrzydła. Ach! czyż nie znajdzie nigdzie, w żadnym kącie świata, czerwonego motyla, purpurowego snów swoich motyla? Bez wątpienia musiał on gdzieś istnieć, mimo, że tak uporczywie umykał przed pragnieniem biednego, nawpół oszalałego człowieka.

Fulgens posiadał wiele motyli barwy jasno ceglastej, usiane purpurowemi, pomarańczowemi lub ognistemi plamkami, lecz nie mógł nigdzie spotkać motyla całkiem purpurowego, jak krew, barwy zarazem ciemnej i żywej.

Znał wszystkie sklepy w Londynie, Paryżu i w innych miastach, gdzie sprzedają cenne owady. Zwiedzał wszystkie słynne zbiory, włóczył się po świecie całym, był w Japonii, Chinach, na Antyllach, w południowej Ameryce, w Afryce, w Oceanii. I nie wiem, czy prześladował go los wrogi, czy też nie istnieje wcale motyl o kolorze migocącego rubinu, motyl, któryby się urodził ze zranionego palca Erosa, jak się urodziły anemony ze krwi Adonisa, lecz nigdy... nigdy nie spotkał go Fulgens.

Pewnego dnia, po długiem badaniu Tachyris Zarinda i Tachyris Nero, motyli pochodzących z Borneo, średniej wielkości i ładnej czerwono ceglastej barwy, uznawszy, że mogą być zaliczone do czerwonych, posłał je swej przyjaciółce minionych lat. Posłał je tej, która nad życiem jego wciąż panowała, jaśniejąc mu w marzeniu jego dawnem, delikatnym urokiem wdzięcznej laleczki; posłał tej, która była już pono starą i mieszkała w nieznanym jakimś kącie świata, lub też spoczywała w jakimś dalekim grobie...

Fulgens, który już się nie liczył ani z czasem, ani z przestrzenią, ani z miejscem, posłał swój drogocenny pakiecik pod dawnym adresem. Pakiecik ten musiał zginąć w drodze lub został skradziony, bo nie powrócił już do swego właściciela, ani też dostał się do rąk dawnej jego przyjaciółki. Biedny, stary maniak, dręczony strasznym niepokojem, liczył dnie i godziny. Nakoniec utracił wszelką nadzieję, zrozumiał, że nie otrzyma żadnej odpowiedzi. Pomyślał tylko: „Wiedziałem, że były to tylko ceglaste motyle, nie były to purpurowe, których pragnęła... motyle barwy krwi..."

Przestał wychodzić i zdawało się, że zapomniał o swych dawnych poszukiwaniach. Stawał się tylko coraz posępniejszym i nie odzywał się prawie do swego wiernego sługi. Przez długie godziny, osłupiały, wpatrywał się w motyle swej cudownej kolekcyi i wzrok jego z pożądliwością spoczywał na pięknych purpurowych plamach, zdobiących niektóre skrzydła i przez szkło okrywające skrzynki, tarł palcem te barwne plamy, jakby chcąc pokryć niemi całego motyla.

W nocy, wśród snu zrywał się jakby zahypnotyzowany. A może też on go miał, tego cudownego, jedynego, wspaniałego, krwaweego, może go tylko zgubił i zapomniał gdzie go umieścił? Lecz znajdzie go, będzie go szukał długo, cierpliwie, bez końca...

I po bezowocnych poszukiwaniach, siadał w świetle lampy lub ognia i wpatrywał się długo w płomień, potem przymykał zmęczone powieki i wśród ciemności, nawpół we śnie, wywoływał fantastyczną wizyę purpurowego motyla, który tańczył, krążył, ironiczny, widmowy i wydawał się skrzydlatym dyabełkiem na czarnem tle jakiejś antycznej wazy.

Była to noc Bożego Narodzenia, piękna zimowa noc, pełna księżycowych blasków, gdy Fulgens zupełnie postradał zmysły. Wstał pośród nocy, straszny, porwany jakąś żądzą wściekłą niszczenia. Otworzył wszystkie szuflady i wydobył z ukrycia całą kolekcyę swych motyli. Ponieważ zaś posiadał ich ilość niezliczoną, skrzynki przepełnione niemi pokryły wszystkie meble, podłogę, sofy, dywany, jak małe dziwaczne grobowce. A pośród tego dziwnego nagromadzenia Fulgens miał pozór świętokradcy pogrzebowego, jakiegoś grabieżcy grobów. Rubiny, szafiry i szmaragdy ich wielkich skrzydeł; przyćmione złoto, topazy, aquamaryny, ametysty i turkusy; ich metaliczne atłasy, wspaniałe jedwabie z lazuru i szafiru, ich aksamity czarne i granatowe szarawych zmierzchów lub świtów; ich tiule, hafty, gazy przejrzyste, ich kaszemiry prążkowane lub upstrzone; ich barwy jaśniejące lub przyćmione; ich biel śnieżna lub perłowa, biel kwiatów i mgieł nieuchwytnych, — wszystko to połyskiwało, migotało lub błyszczało niepewnie w blaskach księżyca, odbijających się w kryształowych nakrywkach i mieniło się w nich tysiącem dyamentowych barw. A maleńkie królewskie mumie spały, nie wiedząc nic o świętokradztwie, podobne do tych potężnych Faraonów, do tych królowych i kurtyzan, które, umarłe, stroiły się do śmierci tak, jak za życia do miłości i sławy. A szklane ściany, ożywione barwami, które za niemi się kryły, przypominały szczątki olbrzymiego zwierciadła, odbijającego jakieś zaczarowane królestwo marzeń.

Fulgens patrzał błędnym wzrokiem na ten zbiór błyskotliwych szczątków. Wydało mu się, że rozerwał jaśniejącą tunikę jakiejś wróżki i utworzył z niej oddzielne kawałki i ozdoby. Przypominały mu się także pewne gry z lat dziecinnych, w które się bawił długiemi godzinami, i patrząc na błyszczące kwadraty, pokryte barwnemi plamami, na których znów były wypisane dziwaczne znaki i tajemnicze hieroglify, uderzył się w czoło. Jak mógł o tem nie pomyśleć? Trzeba było próbować odtworzyć z tych kwadratów jakieś słowo, jakiś obraz, kształt jakiś, nie wiedział dokładnie co takiego, lecz miało to być coś cudownego, coś, coby uspokoiło wszystkie jego udręczenia, powiedziało mu, gdzie szukać czerwonego motyla, coś, coby oznaczało: spokój, szczęśliwość, miłość, pewność...

Zaczął gorączkowo szukać w masie migotliwej i chłodnej; ułożył z małych ramek kilka rysunków, krzyże, czworoboki, w końcu jedną literę... pierwszą literę ukochanego imienia małej, niewdzięcznej swej ukochanej. Potem raptownie zaniechał swej pracy marnej i upuścił ramę, którą trzymał w ręku. Olbrzymi motyl spoczywał tam, jakby uśpiony na wieki, cały w blaskach lazuru, szmaragdu i szafiru. Fulgens rzucił go ze wstrętem na ziemię, szkło się rozbiło.

A Fulgens mówił, wykrzykiwał słowa bez związku i wyrywał swe białe włosy, łamał swe stare ręce i deptał po tych skarbach, które mu niegdyś były tak drogie. Zwracał się do tych motyli, które były całem jego życiem, mówił do nich, jak gdyby on sam je wszystkie prześladował, pojmał, przebił, pogrzebał w tem grobowem więzieniu, mówił im:

— Motyle! motyle! które zabiłem przez miłość dla niej, czyż nie jesteście radosnemi chwilami, pięknemi, jasnemi chwilami, którebym mógł przeżyć, gdybym nie kochał „jej"? Przez miłość dla niej, złożyłem was do grobu, was tem piękniejszych, im lotniejszem jest wasze istnienie. Uwięziłem waszą piękność, stworzoną, by latać, krążyć i unosić się w wolnej przestrzeni, jak żyjące światło, jak gwiazda przelotna. Życie, wolność, piękność, radość: oto co oddałem śmierci przez miłość dla niej. Czegożbym dla niej nie uczynił? Gdyby żądała, nietylkobym was zabił, lecz zamęczył, krajałbym wasze żywe skrzydełka, przebijał wasze aksamitne ciała.

O motyle! motyle! czegożbym dla niej nie uczynił, by zdobyć jej młodą i wdzięczną istotę? I gdzież ona teraz, gdzie? Czerwonym motylem, to była miłość jej, motylem niepochwytnym nigdy, tem, czego się więc nie szuka, czego się nigdy nie osiąga, dla czego się popełnia wszystkie szaleństwa, dla czegoby się popełniło zbrodnie wszystkie. O motyle! pozostaje mi tylko umrzeć! Lecz przedtem chcę wam powrócić wolność waszą. Wstańcie ofiary moich marzeń. Mumie moich pragnień, wynijdźcie z grobów waszych. Sny uśpione, wylatujące znowu w nieskończone przestrzenie; wiekuiste chimery, chwilowo uwięzione, bierzcie na nowo swój lot przerwany. Lećcie oszukiwać inne dusze, innym znów każcie naiwnie wierzyć w to, że kto was uwięzi, ten trzyma w swej drżącej dłoni cząsteczkę nieskończoności. Lećcie! lećcie! lećcie!"

I biorąc lekkie pudełka, rzucał je, rozbijał o meble i ściany, ciskał o podłogę i okna, tłukł o marmur kominka i krwawił sobie ręce ostremi szczątkami.

Nagle zatrzymał się niemy, nieruchomy, zarazem przerażony, zaciekawiony i udręczony.

Przez okno szeroko otwarte srebrno-dyamentowe blaski księżyca zalewały pokój świetlnemi strugami. W blas-

kach tych Fulgens ujrzał wyraźnie, jak z jednego z rozbitych pudełek wyszedł olbrzymi motyl, niby z powtórnej chryzalidy, i nietknięty, żywy, jasny leciał ku księżycowi, od którego jakby zapożyczył śnieżno-zielonawej barwy, a na końcach skrzydeł miał gwiaździste plamy. Fulgens poznał Actias Selene, pomiędzy najpiękniejszemi jednego z najpiękniejszych.

I jak gdyby Actias dał hasło, powołujące uwięzionych jego braci do wolności, wpośród rozbitych szczątków pudełek powstał ruch, drżenie wzrastało i rozszerzało się; coraz to inne motyle wylatywały przez otwarte okno. Fulgens rozpoznawał je kolejno, gdy się unosiły w księżycowej jasności: dzienne i nocne, urodzone w krajach bardzo gorących i odległych, niepomne czasu ani zimna, odlatywały czarodziejsko zbudzone ze swego snu nieruchomego. Widział, jak ulatywał Urania Ripheus o połyskach tęczowych, który musnął mu twarz swem barwnem skrzydełkiem i zabłysło mu ciemnawe srebro metalicznego Dione Moneta i lekkie z sieci pajęczej utkane skrzydła Cyrestis Tyodamas, pochodzącego z Indyi; ujrzał w przelocie Megalura Coresia, o skrzydłach z ciemnozielonawego aksamitu w prążki ciemne i śnieżno-białe i noszącego jego nazwisko Urania Fulgens. Rozróżnił nawet przelatującego jak zielonawo-czerwona iskra, miniaturowego Elymnias Mimalon i błękitnego Potamorpha Maulia i wielkoskrzydlatego Antherea Helfri, podobnego do kawałka ciemnego nieba, nabijanego gwiazdami. I widział swe niezliczone Sfinksy i Heliconius'y z Ameryki Południowej, uchodzące za jadowite i wszystkie swe wielkie Morpho, migocące błękitem i nakoniec olbrzymiego, rzadkiego Papilio Homerus.

Lecz nagle zbudził się w nim dawny instynkt kolekcyonera i zobaczywszy swego pięknego Homerus'a, z którego był tak dumnym, ulatującego także, Fulgens zamknął spiesznie okno i rzucił się na swą sofę cisnąc rękami czoło, nie wiedząc czy śni i bojąc się spojrzeć w koło siebie.

Z opustoszałych grobowców motyle wciąż powstawały, z niepochwytnym szmerem, dalekim i cichym, który coraz się wzmacniał i przeszedł w końcu w wyraźny szum skrzydeł. Fulgens widział, jak krążył w pokoju olbrzymi ciemny Attacus Atlas i Actias Ningpoana, chińczyk o rozszerzonych długich końcach i niesłychanej wielkości Thysania Agrypina, koloru cienia, o dwudziestu pięciu centymetrach w obwodzie. I Ornithoptera Cassandra, którego miał za najpiękniejszego w swym zbiorze, czarno-zielony jak lasy Sumatry, w których się urodził i Brahmaea conchifera koloru miedzi i pokrytego dziwacznemi znakami, tajemniczemi nieznanemi zgłoskami, których nikt nigdy nie odczytał. I tyle ich w końcu krążyło, latało, błądziło, że Fulgens już nie mógł ich ani rozróżnić ani poznać. Tworzyły jakby chmurę, coraz wzrastającą, której Fulgens nakoniec się przestraszył. Chciał powstać i otworzyć znów okno, aby te niezliczone stworzenia wyleciały i by módz nakoniec odetchnąć. Z wielkim trudem dostał się do okna, żywa chmura zgęszczała się wokoło niego, ciemna, burzliwa, nieprzebyta. Fulgens nie mógł już dostać się do sofy i padł na podłogę. Przed otwartem oknem szerokie skrzydła łączyły się, rozwarte, zawieszone w powietrzu, tłumiąc promienie księżyca i tworząc na szybach odbicie podobne do gęstwiny liści kołysanych wichrem. I nagle ruchoma ta chmura spoczęła na ciele Fulgensa i miękkim całunem okryła go całego. Uczuł na swej twarzy jakąś lekką i aksamitną maskę, której niepodobna mu było zerwać. Zrozumiał, że to przyszła śmierć upragniona. I zasnął cicho pod zabójczemi skrzydłami, tak przezeń kochanemi, szepcąc słodkie imię swej ukochanej i wyraz „motyl."

Rankiem, w zburzonym pokoju, pomiędzy mnóstwem pudełek otwartych i rozbitych, wierny sługa znalazł swego starego pana umarłego. Najmniejszego śladu nie pozostało z motyli w małych białych grobowcach. Szczątki szkła tylko błyszczały jak szron w wielkim chłodnym pokoju, w którym Fulgens zdawał się spać cicho.

Ponieważ śmierć jego wydała się wszystkim dziwną, postanowiono otworzyć ciało Fulgensa i zbadać przyczynę jego zgonu. Lecz dwaj uczeni anatomowie, którzy dokonali autopsyi, nie przyznali się nigdy, że widzieli — drgającego, zapewne w takt ostatnich jego uderzeń — wielkiego purpurowego motyla spoczywającego na tem biednem sercu.

Tajemnica morza.

2)

(Ciąg dalszy).

Posuwaliśmy się wciąż, ciągle zachwyceni czemś nowem a cudownem. Dzień upływał szybko, że ani się człowiek obejrzał. Ned, podług swego zwyczaju, myślał o urozmaiceniu pożywienia. Każdy z nas był jak ślimak w swej własnej skorupie — i zdaje mi się, że nie trudno byłoby człowiekowi w prawdziwego zamienić się ślimaka.

W dniu 18 stycznia pogoda była niepewna, morze się bałwaniło, wiatr wschodni dął dość silnie. Barometr stojący nisko od kilku dni, zapowiadał teraz walkę żywiołów.

Wyszedłem na pokład właśnie w chwili, gdy porucznik okrętowy mierzył. Czekałem, jak to bywało moim zwyczajem ,aż wypowie zwykłą swą relacyę. Ale tego dnia zamiast niej, posłyszałem jakiś frazes również dla mnie niezrozumiały — i prawie natychmiast zobaczyłem kapitana Nemo, jak uzbrojony lunetą, rozglądał się po widnokręgu.

Stał tak kilka minut nieruchomy, nie spuszczając oka z przestrzeni szkłem lunety objętej; potem ją spuścił i zamienił kilka wyrazów z porucznikiem, który zdawał mi się być miotany jakiemś wzruszeniem, daremnie powściąganem. Kapitan lepiej panował nad sobą i pozostał chłodny; zdawał się zresztą robić porucznikowi jakieś uwagi, na które ten odpowiadał zapewnieniem bardzo stanowczem. Tak przynajmniej wnosiłem.

I ja także starannie przepatrywałem przestrzeń w kie-

runku, w jakim tamci zwracali swą uwagę, ale nic nie dojrzałem. Woda i niebo zlewało się w jedną linię widnokręgową, niczem nie przerwaną.

Kapitan Nemo przechadzał się po pokładzie z końca na koniec, nie patrząc na mnie a może i nie widząc mnie. Chód jego był pewny, choć nie tak regularny jak zwykle. Zatrzymywał się niekiedy, a skrzyżowawszy ręce na piersiach, przyglądał się morzu. Czego szukał w niezmierzonej przestrzeni? „Nautilus“ był o jakie kilkaset mil od najbliższego lądu!

Porucznik wziął znów lunetę i uporczywie badał horyzont, to posuwając się, to cofając się, niekiedy uderzając nogą o podłogę; to jego niespokojne usposobienie dziwnie odbijało przy spokoju kapitana.

Powinno się było wkrótce wszystko wyjaśnić, bo na rozkaz kapitana śruba podżegnięta wzmocnioną machin działalnością, zaczęła się szybciej obracać.

W tej samej chwili porucznik zwrócił znów na coś uwagę kapitana, który wstrzymawszy swą przechadzkę, skierował lunetę na punkt wskazany i długo się przypatrywał. Zaintrygowany nie żartem, pobiegłem do salonu i przyniosłem doskonałą lunetę, której zwykle używałem; oparłszy ją na wystającej klatce latarniowej, zabierałem się do przepatrzenia całej linii zetknięcia się morza z niebem. Alem się jeszcze nie rozpatrzył jak należało, gdy mi wyrwano lunetę z ręki.

Obróciłem się. Przedemną stał kapitan zmieniony do niepoznania. Oblicze jego przeobraziło się. Oko błyszczące ciemnym ogniem kryło się pod brwią zmarszczoną, a ciało jego zdawało się zesztywniałe. Jego pięści zaciśnięte, głowa wtulona między ramiona, oznaczały gwałtowną nienawiść, widoczną z całej postaci. Stał nieruchomy; moja luneta wypadła mi z ręki i potoczyła się do jego nóg.

Czy to ja byłem mimowolnym powodem tej gniewnej demonstracyi? Czyżby się zdawało temu niepojętemu człowiekowi, że odkryłem jakąś tajemnicę, której goście na „Nautilusie“ nie powinni byli wiedzieć?

Ale nie! nie ja to byłem przedmiotem tej nienawiści kapitana, bo nie patrzył na mnie, a oko jego uporczywie zwrócone było na niezbadany przezemnie punkt widnokręgu.

Nakoniec zapanował nad sobą kapitan Nemo; twarz jego tak niezmiernie przed chwilą zmieniona, przybrała zwykły spokój. Zwrócił do porucznika kilka wyrazów w mowie nieznajomej, a potem rzekł do mnie tonem prawie rozkazującym:

— Panie Aronnax, żądam, abyś pan dotrzymał jednego z danych mi przyrzeczeń.

— O co idzie, kapitanie?

— Dasz się pan zamknąć ze swymi towarzyszami, dopóki nie uznam za stosowne uwolnić was.

— Masz pan prawo rozkazywać — odpowiedziałem, patrząc mu prosto w oczy! — Ale chciałbym się pana o jedną rzecz zapytać.

— O nic, panie profesorze.

Nie było co rozprawiać po takiem powiedzeniu, tylko należało być posłusznym, bo wszelki opór byłby daremny. Zszedłem do kajuty zajmowanej przez Konsela i Ned-Landa i opowiedziałem im o postanowieniu kapitana. Łatwo się domyśleć, jak to przyjął Kanadyjczyk — a wreszcie nie pora była wdawać się w rozprawy. Czterech ludzi należących do załogi stało już u drzwi i zaprowadzili nas do tej samej celi, w której spędziliśmy pierwszą noc po wstąpieniu na pokład „Nautilusa“.

Ned-Land zaczął protestować przeciw rozkazowi kapitana, ale za całą odpowiedź zamknięto drzwi za nami.

— Cóż na to powiedzą? — zapytał Konsel.

Opowiadałem mym towarzyszom co zaszło; dziwili się równie jak ja, ale tyleż co i ja rozumieli.

Pogrążyłem się w myślach, a dziwny wyraz twarzy kapitana nie schodził mi z oczu. Niepodobna mi było skleić z sobą dwóch myśli rozsądnych; zapuszczałem się w najniedorzeczniejsze przypuszczenia, gdy następujące wyrazy Ned-Landa wyrwały mnie z zadumy:

— Patrzcie państwo! tu jest śniadanie.

Istotnie, śniadanie było zastawione. Widocznie kapitan wydał do tego rozkaz równocześnie z przyspieszeniem pochodu statku.

— Niech pozwolą — rzekł Konsel — abym im dał jedną radę.

— Mów, mój chłopcze, mów.

— A to niech jedzą śniadanie; będzie to najroztropniej, bo nie wiadomo, co się może zdarzyć.

— Masz słuszność, Konselu.

Zasiedliśmy do stołu i jedliśmy w milczeniu. Ja nie miałem apetytu, Konsel przymuszał się, jak mówił, żeby jeść przez prostą ostrożność; ale Ned-Land posuwał się jak najdalej i nie darował ani kawałkowi. Podjadłszy, każdy z nas usadowił się na swojem miejscu.

Wówczas jasność znikła i ciemność najzupełniejsza nas otoczyła. Ned-Land usnął niebawem i Konsel także zaczął rozważać jakie mogą być powody, że ten czujny chłopiec zasnął, gdy i sam poczułem jakąś ciężkość na mózgu. Chciałem mieć oczy otwarte, a zamykały mi się gwałtem. Jakieś przykre marzenia mnie napadały. Niezawodnie namieszano nam do śniadania czegoś usypiającego. Więc nie dosyć, że nas zamknięto, żeśmy nie wiedzieli co się dzieje, ale jeszcze zamierzano nas uśpić?

Posłyszałem jak zamykano okiennice; ustało lekkie kołysanie się statku na falach. Czyżby „Nautilus“ opuścił powierzchnię oceanu i zapuścił się w warstwę wód spokojnych?

Chciałem walczyć z napadającą mnie sennością, ale daremnie. Oddech mi osłabł, śmiertelne dreszcze zaczęły przebiegać po moich ociężałych i jakby ubezwładnionych członkach. Powieki jakby pokrywki z ołowiu zapadały mi na oczy. Senność chorobliwa zbudziła mi w mózgu jakieś widziadła, rozproszyły się one i w końcu zapadłem w zupełną nicość.

Państwo koralowe.

Nazajutrz zbudziłem się z głową bardzo lekką i zdziwiłem się niezmiernie widząc się w mojej kajucie. Moi towarzysze zapewnie zostali także do swojej stancyi przeniesieni, nie wiedząc o tem. Prawdopodobnie więc nie wiedzieli równie jak i ja, o tem co zaszło na okręcie.

Nie miałem co robić u siebie; trzeba było spróbować, czym jeszcze jeńcem czy wolnym. Pokazało się, że byłem wolny. Otworzyłem drzwi, przeszedłem korytarz i wszedłem na schody główne. Okiennice, które zamknięto wczoraj, były teraz [illegible] [illegible]dłem na platformę. Już tam byli Konsel i Ned-Land. Zapytywałem ich czy nie wiedzą co się działo? ale nic nie wiedzieli.

„Nautilus“ wydawał się nam równie spokojny i tajemniczy, jak zawsze; pływał po powierzchni z umiarkowaną szybkością — a zdawało się, że się nic na pokładzie nie zmieniło. Ned-Land bystrym swym wzrokiem przepatrywał morze, ale nic nie dostrzegł: ani żagla, ani lądu.

„Nautilus“ odświeżywszy swoje powietrze, zagrążył się znów na jakie piętnaście metrów. Kapitan Nemo nie pokazał się wcale. Z ludzi do statku należących, widziałem tylko milczącego służącego, który jak zwykle spełniał swoje obowiązki.

Około drugiej byłem właśnie w salonie porządkując moje notatki, gdy zjawił się kapitan. Ukłoniłem mu się, a on oddał mi ukłon, ale nic nie mówił. Spojrzałem na niego; zdawał mi się zmęczony. Oczy miał zaczerwienione, jakby nie spał, a na twarzy jego widać było smutek a nawet zmartwienie. Chodził tu i tam, siadał, wstawał, brał pierwszą lepszą książkę i kładł ją napowrót; przyglądał się narzędziom obserwacyjnym, nie notując, jak to czynił zwykle, swych spostrzeżeń. Zdawało się, że sobie miejsca znaleźć nie może.

Nakoniec zbliżył się do mnie i rzekł:

— Czy jesteś pan lekarzem, panie Aronnax?

— Jestem nim — odpowiedziałem i długo praktykowałem nim przeszedłem do muzeum.

— Panie Aronnax — rzekł wtedy kapitan — czybyś pan nie zgodził się wziąść w opiekę lekarską jednego z moich ludzi?

— Gotów jestem iść za panem.

— Chodź pan.

Wyznaję, że serce mi biło. Nie wiem dlaczego, ale zdawało mi się, że choroba człowieka na pokładzie musiała być w związku z tem, co zaszło wczoraj — a ta tajemnica zajmowała mnie tyle przynajmniej co i chory.

Kapitan poprowadził mnie na tył „Nautilusa“, i zawiódł do kajuty położonej tuż obok izby i majtków. Człowiek mogący mieć około czterdziestu lat leżał tam na łóżku. Schyliłem się nad nim. Głowa jego obwinięta w zakrwawioną bieliznę, spoczywała na dwóch poduszkach. Gdym odwiązywał bandaże, chory patrzył na mnie wielkiemi oczami, ale ani syknął.

Okropnie był zraniony; przez czaszkę przeglądał mózg jakby czemś wygładzony. Gruczołki krwi skrzepłej posadzały się na rozpływającej się masie mózgu. Chory oddychał zwolna, a drgania muskułów wzruszały twarz jego. Najzupełniejszy to był paraliż, przy którym nie było już ani czucia ani ruchu.

Ująłem chorego za puls — był przerywany; ręce i nogi już stygły, i śmierć się zbliżała, a niepodobieństwem było ją opóźnić. Opatrzyłem biedaka, uporządkowałem bandaże, i zwróciłem się do kapitana.

— Czem on został raniony? — zapytałem.

— O to mniejsza — była odpowiedź; „Nautilusa“ tylko spotkało uderzenie, które zgruchotało jeden z drągów machiny, a ten człowiek został nim uderzony, osłaniając porucznika, który stał obok... Brat poświęcił się dla brata, przyjaciel dla przyjaciela — to rzecz bardzo prosta. Wszyscy na „Nautilusie“ rządzą się tem prawem. Ale cóż pan mówisz o chorym?

Ociągałem się z odpowiedzią.

— Możesz pan mówić śmiało — rzekł kapitan — on nie rozumie po francusku.

Spojrzałem raz jeszcze na rannego i rzekłem:

— Za dwie godziny będzie już po nim...

— To już niema dla niego ratunku?

Dłonie kapitana zwarły się kurczowo, a kilka łez spłynęło z jego oczu. Nie myślałem, żeby ten człowiek umiał płakać.

Patrzyłem na umierającego. Życie uchodziło z niego widocznie; bladość jego większą się jeszcze zdawała, przy blasku światła elektycznego. Czyhałem na kilka słów z jego ust, mogących mi odkryć tajemnicę jego życia.

— Możesz się oddalić, panie Aronnax — rzekł kapitan.

Opuściłem kajutę umierającego i poszedłem do siebie, wzruszony niezmiernie tą sceną. Cały dzień miotały mną jakieś chmurne przeczucia. W nocy źle spałem. Nazajutrz rano, gdym wszedł na pokład, już tam był kapitan Nemo. Spostrzegłszy mnie, zwrócił się zaraz ku mnie mówiąc:

— Panie profesorze, może pan zechcesz udać się dziś na podmorską wycieczkę?

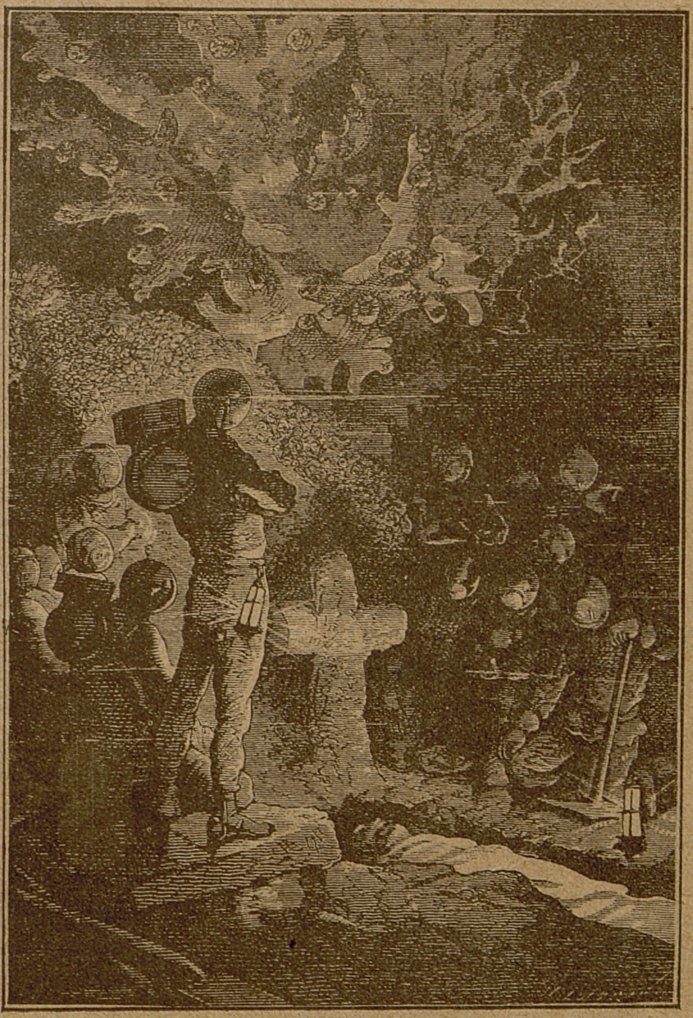
— Czy z mymi towarzyszami? — zapytałem.

— Jeśli będą chcieli, to i owszem.

— Jesteśmy na pańskie usługi kapitanie.

— Więc idźcie ubrać się w ubiory nurków.

O umierającym a może i zmarłym, nie mówił kapitan ani słówka. Poszedłem poszukać Neda i Konsela. Konsel chętnie przyjął zaproszenie, a i Ned jakoś nie ociągał się tym razem.



...ciało spuszczono do mokrego grobowca...

Była ósma rano; o wpół do dziewiątej byliśmy juz przebrani jak należało, na czekającą nas przechadzkę. Otworzono drzwi podwójne i wyszliśmy my trzej, kapitan, i ze dwudziestu ludzi osady na grunt, na którym spoczywał „Nautilus“ w głębokości dziesięciu metrów pod powierzchnią wody.

Lekka pochyłość powiodła nas głębiej jeszcze, na grunt falisty, zupełnie inny niż ów, który zwiedzałem podczas pierwszej mej podwodnej wycieczki na oceanie Spokojnym. Nie było tu miałkiego piasku, ani łąk lub lasów morskich. Rozpoznałem od razu, że okolica, do której nas wiódł kapitan Nemo, była państwem koralowem.

Korale należą do zwierzokrzewów drzewkowatych czyli krzaczastych. Znajome mi były ostatnie uczonych badania nad tym dziwnym zwierzokrzewem, rozrastającym się w krzew, a zarazem zamieniającym się w kamień. To też niezmiernie byłem ciekawy zobaczyć te lasy skaliste, jakiemi natura zasadziła dno niektórych.

Rozświeciwszy sobie drogę, szliśmy obok ławicy koralowej tworzącej się dopiero. Postępowaliśmy wzdłuż niezmiernie gęstych i poplątanych z sobą krzaków koralowych,

pokrytych jakby małemi kwiatkami, prążkowanemi biało. Tylko że te krzaki nie rosły jak na ziemi, z dołu do góry, ale przeciwnie, przytwierdzone do skał, wszystkie rozrastały się od góry w dół. Tysiące czarujących obrazów powstawało ze świateł igrających w tych, żywemi kolorami zalanych, rozgałęzieniach. Pokusa mnie brała, żeby zbierać te świeże korony kwieciste, ozdobione delikatnemi szypułkami: jedne ledwie rozwinięte, drugie rodzące się dopiero. Ale zaledwie zbliżyłem rękę do tych żyjących kwiatów, do tych czółek ożywionych, a natychmiast uciekały; białe ich kielichy kryły się w czerwone rurki, kwiaty rozpływały się w moich oczach, a krzak zmieniał się w kawał kamienistego wzgórka.

Przypadek zdarzył, żem napotkał najpiękniejsze okazy zwierzokrzewów. Korale tego miejsca dorównywały pięknością tym, które się poławia w morzu Śródziemnem na brzegach Francyi, Włoch i Berberyi. Żywe ich barwy usprawiedliwiały owe poetyczne nazwy: „kwiatu krwi“ „piany krwawej“, nadawane w handlu najpiękniejszym okazom. Cena korala dochodzi niekiedy do 1000 marek za kilogram, a w tem tu miejscu było go tyle pod falami morskiemi, że wszyscy żyjący na świecie z połowu korali, mieliby się czem zbogacić.

Krzaki stawały się coraz gęstsze, wyrosty potężniały. Prawdziwe ulice i galerye skamieniałe. Kapitan Nemo wszedł w ciemną galeryę, której łagodna pochyłość sprowadziła nas do głębokości trzystu blizko metrów, zatem ostatniej granicy porostów koralowych. Spotkaliśmy tam nie już krzaki pojedyńcze lub krzewy skromnie wyrosłe, ale las niezmierny, ogromne drzewa koralowe skamieniałe. Pod wybujałemi tych drzew gałęziami, pokrytemi ciemnicą fal, przeszliśmy swobodnie; u stóp naszych rurkokrzewy, gwiazdowce, gąbki, dzwonki itp. tworzyły kobierzec kwiecisty, olśniewającemi posiany klejnotami.

Kapitan zatrzymał się nareszcie; zatrzymałem się także, równie jak nasi towarzysze, którzy stanęli w półkole obok swego dowódcy. Przypatrzywszy się lepiej, spostrzegłem, że czterech z pomiędzy nich dźwigało na barkach jakiś przedmiot podłużnego kształtu.

Byliśmy w środku obszernej polany, otoczonej bujnym drzewostanem podmorskiego lasu. Z naszych latarni płynęło na to miejsce światło przymierzchłe, od którego cień wydłużony padał na grunt. Na krańcach polany ciemność już była zupełna, i tylko żywe zwierzątka w koralu iskrzyły się tu i owdzie.

Ned-Land i Konsel byli tuż przy mnie. Przypatrując się, uderzony zostałem myślą, że zapewne niezwykłe będę miał widowisko. Grunt był ponadymany w niektórych miejscach lekkiemi podniosłościami, jakby ręką w pewnym ułożonemi porządku. W środku polany, na skałach zwalonych na kupę, stał krzyż koralowy i wyciągał swe długie ramiona, jakby zrobione z krwi skamieniałej. Na znak kapitana jeden z towarzyszących nam ludzi odjął od pasa motykę i zaczął kopać otwór.

Zrozumiałem o co chodziło! Ta polana to był cmentarz, a ten otwór miał być grobem; ten przedmiot podłużny, przyniesiony przez ludzi osady, to ciało człowieka zmarłego tej nocy! Kapitan Nemo i jego towarzysze przyszli pogrzebać swego kolegę we wspólnem ostatniem mieszkaniu, na niedostępnem dnie oceanu.

Kopano grób. Spłoszone ze swego schronienia ryby, uciekały na wszystkie strony. Wapnisty grunt dźwięczał pod uderzeniami kilofa, z pod którego, gdy natrafił na krzemień, tryskały iskry. Otwór rósł wzdłuż i wszerz, i nareszcie dosyć się stał obszerny, by objąć ciało człowieka.

Wówczas zbliżyli się ci, którzy je nieśli. Owinięte w tkaninę białą ciało spuszczono do mokrego grobowca. Kapitan Nemo z rękami skrzyżowanemi na piersiach, i wszyscy przyjaciele zmarłego uklękli w postaci modlących się. Ja i moi dwaj towarzysze pochyliliśmy się ze czcią... A potem zasłonięto otwór grobowca odłamkami oderwanemi z gruntu i powstał mały pagórek.

Wówczas kapitan i ludzie jego powstali, zbliżyli się do grobu i każdy z nich raz jeszcze ugiął kolano i wszyscy wyciągnęli ręce na znak ostatecznego pożegnania. Pogrzebowa drużyna zawróciła wówczas w stronę „Nautilusa,“ przechodząc pod łukami kamienistego lasu, przez ulice, wzdłuż krzaków koralowych, i wstępując coraz wyżej. Ogniska na statku ukazały się nakoniec; świetlne ich smugi były nam przewodnikami. O pierwszej byliśmy już z powrotem.

Zmieniwszy odzienie, wyszedłem na platformę, a przygnieciony nawałem myśli, usiadłem przy latarni oświetlającej statek. Wkrótce nadszedł kapitan Nemo. Podniosłem się i rzekłem:

— Tak więc, jak przewidziałem, człowiek ów umarł w nocy?

— Umarł, panie Aronnax — odpowiedział kapitan.

— A teraz spoczywa przy swych towarzyszach, na koralowym cmentarzu.

Zasłaniając sobie nagle twarz rękami, kurczem owładniętemi, daremnie usiłował kapitan powściągnąć łkanie — potem rzekł:

— Tam jest nasz zaciszny cmentarz, tam, o kilkaset stóp pod powierzchnią wód!

— Przynajmniej wasi zmarli bezpieczni tam są od rekinów.

— Tak — odparł poważnie kapitan — od rekinów i od ludzi!

Ocean Indyjski.

Tu rozpoczyna się druga część tej podróży pod morzami. Pierwsza zakończyła się wzruszającą sceną cmentarza koralowego. Tak więc w łonie tego niezmiernego morza upływało całe życie kapitana Nemo; tam także w niepizeniknionych przepaściach przygotował dla siebie mogiłę. Tam żaden potwór oceanu nie zakłóci ostatniego snu owych mieszkańców „Nautilusa“. Tam są bezpieczni — „nawet od ludzi!“ — dodał kapitan.

Tajemnica owej ostatniej nocy, podczas której wrzucono nas do więzienia i pogrążono w śnie sztucznym; gwałtowna przezorność, z jaką kapitan wytrącił mi z rąk lunetę, gdym rozpatrywał widnokrąg, i wreszcie śmiertelna rana, którą otrzymał jeden z jego ludzi przy niewytłumaczonem starciu „Nautilusa“, wszystko to wprowadzało mnie na nowe domysły. Nie! kapitan Nemo nie poprzestawał na uciekaniu od ludzi! Jego straszny okręt posługiwał nie samym tylko jego instynktom wolności — ale może jeszcze interesom jakiejś służył okropnej zemsty.

Pruliśmy wówczas bałwany oceanu Indyjskiego, rozległej płaszczyzny wód, zajmującej pięćset pięćdziesiąt milionów hektarów, a tak przeźroczystej, że zawracało ci się w głowie, gdy pochylony patrzyłeś w jej zwierciadło. „Nautilus“ płynął zwykle między stu a stu dwudziestoma metrami głębokości. Tak było przez kilka dni. Dla kogo innego godziny z pewnością wydałyby się długiemi, nudnemi; ale codzienne przechadzki po platformie, gdzie pokrzepiałem się orzeźwiającem powietrzem oceanu, widok bogatych wód przez szyby salonu, czytanie książek w bibliotece i pisanie notatek i pamiętników, zajmowały cały mój czas i nie zostawiały mi ani chwili na nudy. Stan naszego zdrowia był zadowalający.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nakładem i drukiem „Pracy“ Drukarni Nakładowej Sp. z ogr. p. — Redaktorzy odpowiedzialni: Za dział polityczny, wiadomości i dział illustrowany p. Bolesław Rakowski z Poznania, za dział ogłoszeń p. Wincenty Szmytkowski z Poznania.